

11
1956

11

RAMENA

T R E Ś Ć

SŁOWO OD REDAKCJI	1
STEFAN ZARĘBSKI: Poeta do redakcji biegl...; Meteorologia; Sztafeta	2
ADY ENDRE: Matka i córka; Krzesacz ognia — spolszczył <i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	3
STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: Sądny dzień	4
STEFAN WOLSKI: Rok 1848	6
FRERDYNAND LESSEPS: Jak powstał Kanał Sueski — opracował <i>Jerzy Grocholski</i>	7
MAREK ADAM JAWORSKI: Gołąb Picassa	10
ZYGMUNT KLUKOWSKI: Listopad w Norymberdze 1946	11
FRYDERYK SCHILLER: Pegaz w jarzmie — spolszczył <i>Eugeniusz Gołębiowski</i>	13
ROMAN ROSIAK: Kilka smutnych spostrzeżeń	14
JULIAN KOT: ZPAP wymaga reorganizacji	15
ZENON KONONOWICZ — M.	16
EDMUND GRZYBOWSKI: Ludzie budują zaufanie	17
WSPÓŁZAWODNICTWO ŻYWEGO SŁOWA — (r)	19
ZYGMUNT MAŃKOWSKI: Dzień dobry, prowincjo!	19
ZBIGNIEW JAKUBIK: Rozmowy o filmie	21
WIECZÓR AUTORSKI MARII SZCZEPOWSKIEJ — <i>zjk</i>	23
MARIA SZCZEPOWSKA: Kariera dziennikarza	24
WOJCIECH BIEŃKO: Ślub z elektromagnetycznym polem	25
IRENA ISKRZYCKA: Z Muzeum Lubelskiego	25
„ORFEUSZ” W TEATRZE AKADEMICKIM — <i>Józef Wiesław Zięba</i>	26
WOJCIECH GÓRNY: „Latarnia” święci jubileusz	27
JERZY WICHROŃ: Wizytator Rzep — Czepiański	28

WOLNA TRYBUNA:

Z POLA WALKI O WŁAŚCIWY KLIMAT DLA SZKOŁY ŚREDNIEJ — <i>Janina Plisz-</i> <i>czyńska</i>	29
NIGDY WIĘCEJ — <i>Zbigniew Jakubik</i>	31
KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY — <i>H. S. i in.</i>	32
GŁOSY Z TERENU — <i>C.</i>	34

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM:

Petrarka stał się nam bliski — <i>Jerzy Starnawski</i> ; „Ludzie i syrena” — <i>Wacław Gralew-</i> <i>ski</i> ; Przegląd wydawnictw — <i>jnk</i> ; (z); Wycinki z prasy kulturalnej — <i>Iks</i> ; O czym pisała „Kamena” przed 20 laty	35
KRYTYCZNIE O KRYTYKACH „ŻYCIA LUBELSKIEGO”	40
ODPOWIEDZI REDAKCJI	III strona okładki

Artemena

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 11 (117)

W dniu 25 października odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich wraz z Kołem Młodych, zwołane dla omówienia doniosłych wydarzeń historycznych w Polsce. Zgromadzenie postanowiło wystąpić do tow. Władysława Gomułki list następującej treści:

Do
Towarzysza Władysława Gomułki
i Sekretarza Komitetu Centralnego
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

w Warszawie

Członkowie Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich oraz Koła Młodych przy Oddziale wyrażają gorącą radość z powodu objęcia przez Was, Towarzyszu, stanowiska I Sekretarza KC PZPR i solidaryzują się całkowicie z Waszym programem naprawy Rzeczypospolitej.

Wierzymy, że głębokie zmiany, jakie zaszły w kierownictwie Partii i w Rzeczypospolitej, stworzą właściwe warunki do osiągnięcia pełnej suwerenności Polski Ludowej i jej rozwoju pod względem politycznym, społecznym i gospodarczym, a pisarzom zapewnią możliwość nieskrępowanej twórczości.

Jednocześnie podajemy Wam, Towarzyszu, do wiadomości uchwaloną przez Oddział i Koło Młodych rezolucję.

Rezolucja przekazana tow. Gomułce postulowała: wolność słowa, jako zasadniczy warunek demokratyzacji, i konsekwentnie z tym ograniczenie ingerencji cenzury wyłącznie do spraw związanych z właściwie pojętą racją stanu; pociągnięcie do odpowiedzialności osób winnych masowych straceń akowców, bez wyroków sądowych, w latach 1944—1945 w Lubelszczyźnie; rozszerzenie amnestii na wszystkich więźniów politycznych — ofiary stalinizmu; zwolnienie Prymasa Polski, ks. Kardynała Wyszyńskiego; otoczenie przez władze lubelskie opieką miejsc straceń ofiar hitlerizmu i stalinizmu, a w szczególności upamiętnienie ich męczeństwa tablicą na Zamku, jak również wydanie Księgi Martyrologii Lublina; powrót do bibliotek książek zakazanych w okresie stalinizmu oraz szersze uwzględnienie w planach wydawniczych książek polskich pisarzy emigracyjnych; poddanie rewizji zmian historycznych nazw ulic Lublina. Nadto zebrani wyrazili protest przeciwko dotychczasowym jednostronnym poczynaniom KW PZPR w stosunku do „Kamień”, organu naszego oddziału ZLP.

Ostatnie obrady Plenum CRZZ, sesja sejmowa, a przede wszystkim wspaniały sukces odniesiony przez naszą Delegację na konferencji w Moskwie, świadczą o tym, że wielki program odnowy Rzeczypospolitej, poparty przez całe społeczeństwo, z każdym dniem coraz bardziej wciela się w życie.

Wkraczając teraz w okres normalizujących się warunków pracy, dziennikarze, literaci, muzycy, aktorzy, plastycy, — wszyscy pracownicy kultury, w całym kraju i w Lubelszczyźnie, powinni zespolić się w jednym dążeniu: niech poczynaniom każdego z nich towarzyszy troska o prawdziwą wolność i suwerenność Ojczyzny, o praworządność, o swobody

demokratyczne nieodłączne od niezafałszowanego pojęcia socjalizmu, o dobrobyt dla wszystkich obywateli naszego Państwa Ludowego, o godność i rozkwit sztuki. Niech pracę naszą przenika uczciwość i prawda, obiektywizm, wzajemny szacunek i mądra tolerancja.

Na tych zasadach powinna być odtąd budowana współpraca poszczególnych placówek i grup artystycznych walczących o rozwój kultury. Wszak cel przyświeca nam wspólny: wielkość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Stefan Żarębski

* * *

Poeta do redakcji biegł i — stanął nagle,
Rznął teczką o trotuar...

A zegar bił w pół
I słońca zachód pionał na niebie jak żagiew!...

*

Ktoś krzyknął przerażony, ktoś gonił co tchu —
Samochód przez ulicę przemknął jak rakietą!
A z bram już rozwalonych tłum szary wychodził
I z głuchym się posuwał szumem...

I kobiety
Zakrzyczały lamentem, że nie będą rodzić...
I dzieci zapłakały, że po coż im żyć...
A robotnicy — piersi odkrywszy włochate —
Szli, milcząc szli...

Tysięcznym, tysięcznym pochodem!

*

Poeta na parkanie krwawą pisał odę...

METEOROLOGIA

A skąd się latem zimno bierze —
Rzecz trzeba by wyjaśnić bliżej:
Są zaburzenia w atmosferze,
Powstają wyżej albo niżej.
Atomów wpływy, może komet?
Nauka jeszcze nie orzekła.

I drgnęło serce — pękł barometr:
Tak, fala ciepła...

SZTAFETA

(w związku z olimpiadą w Australii)

Od startu meta daleko,
Lecz tor wytknięty, cel znany —
Leć chyżonoga sztafeto
Sprintem niepowstrzymanym!

Wielka jest bieźnia świata,
Świat od bieguna po biegun...
Niech pędzi wieść skrzydlata —
Sto metrów w dziesięć sekund:

Że czas już siłę wyzwolić,
Że oto znicz się pali!
Biegnijcie! Braciom w niewoli —
Zza móż — podajcie dalej!...

Stefan Żarębski

Ady Endre*)

MATKA I CÓRKA

(„Anya és leánya“)

O mamó moja, jesteś rozpalona,
lzy pragniesz ukryć, twarz ci cała gorze.
Powiedz mi, powiedz, co jest z naszym tatą,
czy chory może?

Czy może siedzi z pochyloną głową
tam, gdzie orzekną: jutro strajk być musi.
Co będzie z nami, czy zawsze tak samo,
powiedz, mamusiu.

Nie, dziecko, zawsze nie będzie tak samo,
tylko się nie martw, zanuć, córko miła:
może dla ciebie przyjdą inne czasy,
jakich nie było.

Ciężkie jest życie. Tak, córeczko moja —
tylko żaloba, a znikąd pomocy.
O jasną przyszłość walczy dziś twój tata
w tej czarnej nocy.

(„Ratujące się życie“ — „A menekülő Élet“) 1912

KRZESACZ OGNI

(„A Tűz csiholója“)

Rzecz wielka tam się tylko rodzi,
gdzie są śmiałkowie, a nie tchórze,
a ten, co razy sto był śmiały,
stu śmiałków wart jest w czasie burzy.

Błogosławiona pierwsza śmiałość:
praczuwiek, co wykrzesał ogień
i co w nieznannej iskrze poznał
żywiół posłuszny mu, choć srogi.

Dumny jak Bóg brał w mróz, wśród śniegu,
nagrodę za to, że się trudził.
Krew jego jeszcze dzisiaj pada
w odwadze wszystkich śmiałych ludzi.

Świat nie jest tych, co są wczorajsi,
co z drzeniem idą w dzień dzisiejszy.
Prawy jest tylko ten, kto śmiały,
a tym jest prawszy, im jest śmielszy.

A ci, co chcą lepszego jutra,
w strachu się przed nim kryć nie biega.
Są jak ten Bóg, ich przodek wielki,
stworzyciel ognia natchnionego.

(„Miłość do samych siebie“ — „A Magunk szerelme“) 1913

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

*) Ady Endre (1877—1919) — znakomity liryk; twórca nowoczesnej poezji węgierskiej.

SĄDNY DZIEŃ*)

W Wojskowym Sądzie Kryminalnym roboty wciąż było huk, ale już nie tyle i nie takie, co przedtem.

Od magistratu otrzymał Sąd mnóstwo spraw o polspolite przewinienia kryminalne, zwyczajne złodziejstwa, spośród których jedna jedyna sprawa Bartłomieja Ociepki uwolnionego za wstawiennictwem jego rywala wyróżniała się swoim osobliwym, niecodziennym charakterem i okolicznościami.

Obok tego Sąd rozpatrywał i wiele takich przypadków, w których nieraz trudno było, zwłaszcza wobec nagminnego braku akt, ustalić, za jakie to rzeczywiste przewiny od tygodni przesiadywał w areszcie nieszczęsny więzień.

— Za co was wzięto do cuchthauzu? — indagował oskarżonego major Maruszewski.

— Abo ja wiem... — stary wieśniak bezradnie rozkładał spracowane ręce.

— Jakże to nie wiecie!... Mówcie mi tu zaraz! — strofował go major — Jak na spowiedzi.

— Powiadają, że za nieprzyzwoite gadanie przeciw powstaniu — z zakłopotaniem jękając się wyznawał chłop.

— Nie wstyd to wam!... Jakaż dla naczelnika Kościuski byłaby boleść, gdyby się skąd o tym dowiedziało... Idźcie już sobie i więcej tego nie czyńcie. Jesteście wolni.

Zdumiony chłop, który nie wiedział pierwej, za co go wzięto, tak z kolei teraz nie pojmował łagodnego się z nim obejścia, do jakiego zgoła nie przywykł. Kłaniał się w pas próbując objąć pod kolana cudaczego jego zdaniem sędziego.

— No, idźcie już sobie... Idźcie już sobie!

I major zabierał się do następnego obwinionego.

— Jak was zwą?

— Kacper Dobrowolski.

— Skądżeście?

— Z Suchodolów... spod Grójca.

— Czym się zatrudniacie?

— Kowalstwem.

— Łęsz!... Na złodziejstwie cię złapano!

Suchy, zgarbiony, ale krzepki jeszcze w sobie stazec, na szeroko rozgiętych nogach stojący przed Maruszewskim, zaczerwienił się aż po korzonki białych włosów.

— Ja... ja... wieś spalona... dzieci wyginęły, wnuków pięcioro u mnie...

Maruszewski przyjrzał się wioskowemu rzemieślnikowi.

— Pietrek! — zwrócił się do siedzącego w kącie sądowej komnaty Wolskiego — Pójdiesz po południu do pana Marianańskiego do kuźni i popytasz, czyby nie przyjął czeladnika.

— Pójdę... — Piotr skinął z uszanowaniem głową.

— Możecie odejść... Następny.

Wchodził następny.

— Czemuż to nie chcecie asygnacji skarbowych za jagły brać? Gadajcie mi zaraz!

Handlarz popatrzył bezczelnie na majora.

— No?

— Nie będę... i już. Utopię, a papierków brać nie będę i basta. Róbcie co... co wam się podoba!

— Aaa!

— Jak gotowego grosza nie dadzą, nie będę...

— Tak?... noo... Odprowadzić aresztowanego, sąd rozważy rzecz!... Dalej...

Z zuchwale zadartą głową oskarżony handlarz wyszedł pod strażą z izby.

Wprowadzono trzech Żydów.

Brodaci, brudni, w niegdyś białych, opadających im z wyschniętych pischczeli pończochach, w oberżniętych, przydeptanych u pięt pantoflach, w zaciśniętych na brzuchach zwyczajnymi, konopnymi sznurkami, czarnych sukniach, po dziesięćkroć wybijali przed majorem niskie, do samej podłogi, pokłony śmiesznie trzepocąc przy tym ryżymi rzesami.

Maruszewski zajrzał do leżących na stole papierów. Długo i bezskutecznie czegoś poszukiwał.

— Skądżeście?

Żydzi milczeli.

— Pojmujecie mnie?... Skądżeście, pytam... no?

— Co znaczy skąd? — zaryzykował odpowiadając pytaniem na pytanie najwyższej dwudziestopięcioletni, młody jeszcze o rzadkim zarósnięciu i zaczerwienionych ropięjących powiekach Izraelita.

— Skąd jesteście... gdzieście się rodzili?

Starozakonni nie odpowiadali. Popatrzyli na siebie wzajem ruszając ramionami, jak gdyby ich robactwo gryzło.

Maruszewski był już najwyraźniej zniecierpliwiony.

— Pytam was po ludzku... Powiadajcie, skądżeście się tu wzięli? No, mówcie!...

— Skądżeście się tu wzięli?...

— Skąd przyszlście do Warszawy? — major łamał paice u rąk z tłumionej irytacji.

— No, jak to skąd!... Z Lubartowa.

Indagujący od dziesięciu minut podejrzanych o uprwanie szpiegostwa Żydów sędzia westchnął z niejaką ulgą.

— Trzeba było od razu tak powiadać.

— My nie wiedzieli...

Aresztowani obserwując postępowanie sędziego powoli, powoli nabierali pewności siebie

— Za co was w areszcie osadzono?

— Abo my wiemy... — znowu pociesznie wzruszali ramionami.

— Jak to nie wiecie?! Mówcie mi tu zaraz, nie skrywajcie... za co was uwieziono?

— Dobrodzieju łaskawy!... Żebym ja tak zdrow był, żeby wasza miłość zdrowa była, żeby moja żona zdrowa była — zaklinał się najstarszy z obwinionych —

*) Fragment rozdziału powieści o Warszawie ludowej w dniach Insurekcji Kościuszkowskiej pod tytułem „Piotr i Anna”, stanowiącej część drugą trylogii „Czerwieńcy”.

jak ja wiem, za co mnie tu przyprowadzili i trzymają!

I wielka jak groch iza potoczyła się po pomarszczonym, pergaminowo żółtym policzku Żyda.

— No, no... nie beczeć mi tu!... — niby to srożył się major — Co wy tu?... Paspzorty macie?... Nie macie?

— Jaki paszpzorty?!

— Od kiedy was tu trzymają?

— Jaki i od kiedy... paszpzorty?! My przed Kozakami uciekali... Kozaki nas biją, panowie wieśniaki nas biją, dziedzice nas biją... O je je!... — stary trzymał się za głowę. — Wszystkie nas biją... No, to o jakie paszpzorty...

Rozplątał się na dobre.

Członkowie Wojskowego Sądu Kryminalnego mieli w żywej jeszcze pamięci słowa niedawnej odezwy Tadeusza Kościuszki z dnia 18 września:

„Za dawniejszego rządu, że przy tylu nieprawościach i ta cierpiąca była, dziwić się nie należy, ale dziś, gdy ojczyzna wszystkim zarówno pokazuje się być matką, gdy wszystkim jednakową udzielać powinna sprawiedliwość, nie przystoi, ani należy, by klasa mieszkańców równie z drugimi pożyteczna, równie nawet z drugimi do obrony publicznej przykładać się chcąc, od względu rządów oddaloną być miała“.

Major pochylił się ku siedzącym za stołem i w całkowitym dotąd milczeniu śledzącym indagację, od czasu do czasu tylko przytakującym mu kolegą — Gawdzickiemu i Krygierowi. Coś tam poszeptali między sobą.

— Oddać ich pod dozór kahału! — zza stojącego na środku stołu drewnianego krzyża odezwał się Krygier — Może pułkownik Josielewicz będzie miał z nich jakie pożytki...

— Słyszeliście?! — referent bieżącej sesji Sądu huknął na rozpromienionych z nieoczekiwanej radości starozakonnych aresztantów. — No, idźcie już sobie, idźcie...

Zydzi czepiali się rękawów munduru majora. Major opędał się z tajonym zadowoleniem od hałaśliwych, natrętnych podziękowań. Za chwilę trochę zdziwiona obrotem rzeczy straż wyprowadzała ukontentowaną trójkę z sali.

— Niech szanownym dobrodziejom łaskawy Pan Bóg da wszystko dobre!... Niech was Pan Bóg nagrodzi!...

Po krótkiej przerwie sądzono sługę pozostającego za granicami kraju, skazanego na infamie Branickiego. Famulus targowiczański zdrajcy obwiniony był o utrzymywanie korespondencji ze swoim byłym chlebowawcą.

Po przeprowadzonych indagacjach i po odbytej w sąsiedniej izbie naradzie sędziowie biorąc pod uwagę brak niepocziwych intencji w postępowaniu oskarżonego zadekretowali uwolnić go od winy i kary. Pierwej jednak, nim uwolnili podsądnego, długo perswadowali mu, że powinien uczuć tę wielką prawdę, iż obowiązki służącego nie uwalniają od obowiązków obywatelskich.

Dwie następne rozprawy odbyły się nad urzędnikami zawiadującymi składami żywności. Obu obwinionym udowodniono złodziejstwo — i to po raz wtóry — mienia skarbowego.

— Jakże to tak mogliście czynić widząc tyła pracującego narodu głodem przymierającego, gdy wam na naszym nie zbywało, w tym trudnym dla obywatelów

czasie ptasiego mleka chyba brakło?! — z gniewem zażytywał drugiego już przestępcę Antoni Krygier.

Oficjalista z cynicznym uporem wypierał się popełnionych kradzieży:

— Jam nic złego nie zrobił...

— Jakże to nic złego nie zrobiłeś — krzyczał nań wywieziony już z dotychczasowego spokoju sędzia — skoro trzy wory mąki i beczułkę kiszonych ogórków oraz kapusty co niemiara u ciebie doma w piwnicy naleziono?

— Należiono, bom miał swoje... kupne.

Teraz już Krygier nie wytrzymał, nie potrafił więcej panować nad o tyle, o ile hamowanym dotąd wzburzeniem. Poderwał się zza stołu.

— Ty oczajduszo, zbrodniarzu ty... nikczemny! A pieczęci skarbowe na workach to co!... To co?

Gawdzicki przytrzymując za poły kolegę próbował go uspokoić:

— Mości panie, a toć sprawa jasna...

— Nie jasna ale ciemna... A to ci hulaj dopiero, złodziejskie nasienie!

Parskał z wściekłości.

Wyprowadzono przestępcę. Sąd udał się na naradę.

Długo debatowano.

Po godzinie zapadł wyrok. Wszyscy trzej sędziowie jednomyślnie uznali, że zbrodniarze, których kara doczesna wstrzymać i poprawić, a żadne więzienie — ponieważ często z nich uciekają i dalej prawo obrażają — ubezpieczyć nie mogło, karę śmierci przez szubienicę otrzymać muszą.

Było już późno i członkowie Sądu Kryminalnego, którzy od samego rana bez pożywienia byli zatrudnieni na sesji, czuli się znużeni. Zamierzano sesję zakończyć.

— Obywatelu majorze! — z sąsiedniej kancelarii zająztał przez uchylone drzwi pisarz kierujący kancelarią Wojskowego Sądu Kryminalnego. — Dwóch poddanych jeszcze z Wydziału Bezpieczeństwa wraz z aktami dostawiono, którzy o szybką sprawiedliwość wysoki sąd prosić ośmielają się.

— A niechaj cię! — Maruszewski z całkiem niepowściąganym, jawnym niezadowoleniem pacnął dłonią w stół tak silnie, że aż stojący na nim krucyfiks spadł z trzaskiem na podłogę.

Major pochylił się ku ziemi.

— Cóż to znowu za jedni, którym tak się na szubienicę śpieszy?!... Dawaj ich, byle prędko!... Waćpanowie się godzą sesję prolongować?

Kancelista z uszanowaniem czekał w drzwiach na decyzję członków Sądu. Wolski, któremu już od paru godzin w kizkach okropnie burczało, ze zniecierpliwieniem kręcił się na ławce w kącie komnaty. Stojący u stołu sędziowie rozpaczliwie rozkładali ręce.

— A niech tam!

— Dłużej by sobie pożyli, a tak... — drwił dla rozweselenia kolegów Tomasz Maruszewski.

Nikt się nie roześmiał z nietęgiego dowcipu.

— Dawaj ich! — krzyknął major ku drzwiom.

Do izby weszli pod strażą milicji dwaj zakuci w dybki wieśniacy. Starszy w lnianej świtce, w zabłoconych bucikach, z ogromną parcianą torbą przewieszoną przez ramię, ponuro spode łba spoglądał na stół

sędziowski, na obalony na stole drewniany wizerunek męki Pańskiej, na nawzajem przypatrujących mu się z uwagą członków Sądu. Drugi, prawie że dziecko, wyrostek nie więcej niż piętnaście lat mający, tulił się do starszego dygocąc z obawy. Na wymizerowane policzki wystąpiły mu duże, ceglaste plamy. Oczy szklily się chłopcu jak w gorączce.

— Jezu!... Jezu!... — Piotr zerwał się z krzykiem z ławy — Jezusie nazareński!... Feluś!...

Wszyscy trzej sędziowie jak na komendę zwrócili spojrzenia na Piotra.

A on nie dobywszy już z siebie więcej żadnego słowa, ze spazmatycznym płaczem rzucił się na szyję zakute-mu w kajdanki, zdrętwiałemu ze zdumienia wyrostkowi.

Maruszewski machinalnie, powoli podnosił przewrócony na stole sędziowskim krucyfiks.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Stefan Wolski

ROK 1848

(Fragment)

Tam, gdzie barykady są już pomnikami,
jak krew,
placów ranami
kipiał narodów gniew.
Tam leży Neapol, Palermo, Mediolan,
Paryż, Wiedeń i Berlin;
to tam u ludu kolan
wolności szampan się perlił.

A w Polsce sercom bory
szumiały niepodległe,
by snu o wolnym orle
i skrzydeł jego strzegły.

I Poznań urósł w słowie dudniącym jak grom,
które miało smak jutra i brzask niosło szczęścia.
Trzeba je było podnieść do góry jak dom,
i jak sztandar rozwinąć w huraganu pięściach.

Rewolucja!
Tym słowem zagrzmiały niebiosa.
Krew zagrała, załśniła, jak słońce na kosach.
Polonez snów: wichura.
Jestże mocniejsze wino?
Spójrz! Polski okręt w chmurach
do swoich dni zawinął.

Szedł przeciw tym płomieniom,
ranom kwitnącym sobą,
przeciwko buntowi rdzeniom
generał śmierci: Colomb.

Szły gdzie indziej madziarskim pyłem
od wschodu, od zachodu,
i biły
w drogi odwrotu
carsko-cesarskie armie.

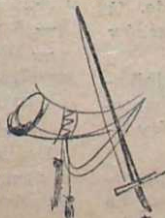
Więc ty, winnico, karm je
wolnością węgierskich winogron,
nad których winem — pogrom.

Nie takim słowem grzmiało
tej wiosny złote rano,
nie takim słowem grzmiało
Madziarom i Słowianom.

Wszystko za bramą wieku zostało: i krew,
podobna rdzy na broni w lat schowanej studni,
i radość, i nadzieja, cierpienie i gniew,
i wulkan niespełnienia, co pod ziemią dudni.

O, Roku!
kiedyś tonął,
gdy klęski pochodnie świeciły ci z bliska,
tyś burzą ujarzmioną
jeszcze z głębiny błyskał,
by w trybach twoich godzin
niepodległe młyny
meły już nowy urodzaj powodzi
na dzień
inny.

Stefan Wolski



Ferdynand Lesseps

JAK POWSTAŁ KANAŁ SUESKI

(Fragmenty pamiętnika)

Opracował JERZY GROCHOLSKI

Tak zwany problem Kanału Sueskiego skupił na sobie w roku bieżącym uwagę całego świata, budząc wypadkami ostatnich tygodni uzasadniony niepokój. W okresie, kiedy Suez stał się wodownią krwawego starcia sił reprezentujących konglomerat sprzeczności gospodarczych i narodowych, chyba szczególnie warto zapoznać się bliżej z genezą tego szlaku wodnego o tak kapitalnym, międzynarodowym znaczeniu. Ktoż mógłby na ten temat udzielić bardziej bezpośrednich informacji, jak nie sam twórca kanału przemawiając z kart swego pamiętnika. Tom II „Wspomnień” Ferdynanda Lessepsa istotnie zawiera bardzo interesujący materiał, zarówno historyczny jak i obyczajowy z ówczesnego Egiptu, ze szczególnym uwzględnieniem opisu mozolnej realizacji planów sueskich. Niemożliwą byłoby rzeczą z powodu braku miejsca zapoznać czytelnika z całym, liczącym 551 stron tekstem, na który składają się korespondencje i notatki z dziennika. Toteż tłumacz jest zmuszony do przeprowadzenia pewnej selekcji materiału, wybierając możliwie najciekawsze i najbardziej istotne fragmenty. Dodać jeszcze wypada, iż z powodu niemożności uzyskania francuskiego oryginału tłumacz korzysta z II tomu niemieckiej wersji dzieła: „Vierzig Jahre Erinnerungen” von Ferdinand von Lesseps, Berlin 1888 J. Allgemeine Verein für Deutsche Literatur. Tytuł niemiecki II tomu „Entstehung des Suezkanals”.

J. G.

Tom II swych pamiętników zaczyna Lesseps listem adresowanym w Paryżu 8 lipca 1852 roku do generalnego konsula holenderskiego przy rządzie egiptowskim S. W. Ruissenaersa, z którym zaprzyjaźnił się, gdy jako młody jeszcze inżynier pracował w Egipcie.

„Bez przerwy poczynszy od 1849 roku wszechstronnie studiowałem pewien problem, zajmujący mnie już przed dwudziestu laty, kiedy w czasie pobytu w Egipcie zawiązały się nasze przyjacielskie stosunki. Przyznać muszę, że moje plany bujają jeszcze w obłokach. Nie ukrywam przed sobą, że tak długo nic nie da się zrobić, póki jedynie ja będę uważał to za możliwe. Na to, by szersze grono skłonić do przyjęcia mego projektu, potrzebuję solidnych podstaw i właśnie dlatego proszę Pana o współpracę. Chodzi mi mianowicie o przekopanie przesmyku sueskiego. Już od zarania historii rozmyślano nad tym problemem uważając go jednak za niemożliwy do rozwiązania. Istotnie czta się w podręcznikach geografii, że kanał dawno by przekopano, gdyby nie przeszkody trudne do przezwyciężenia. Posiłam Panu pracę zawierającą rezultaty moich dawniejszych i najnowszych badań w tym przedmiocie. To pismo, ściśle poufne, poleciłem przetłumaczyć na arabski najlepsze mu rządowemu tłumaczowi, memu przyjacielowi Douchenoud. Pan będzie mógł najlepiej osądzić, czy obecny wicekról Abbas-Pasza jest człowiekiem zdolnym dostrzec przydatność tego przedsięwzięcia dla Egiptu oraz czy byłby skłonny do współdziałania w jego wykonaniu.

Niestety tym razem nadzieje Lessepsa na pomyślne załatwienie sprawy nie spełniły się. Wynika to z treści listu pisanego w Paryżu 15 listopada 1852 roku do tegoż samego holenderskiego przyjaciela.

Jak mi Pan donosi, nie ma żadnych widoków na zaakcentowanie moich planów sueskich przez Abbas-Pasze. Przedłożeniem więc ten projekt jednemu z zaprzyjaźnionych finansistów p. Benoit Fould. Miał on uczestniczyć w zakładaniu jakiegoś kredytowego przedsiębiorstwa meblarskiego w Konstantynopolu. Zaskoczony był zarówno skalą przedsięwzięcia, jak i możliwościami zysków; rzecz w tym, żeby wśród koncesji żądanych od Turcji uzyskać również prawo budowy Kanału Sueskiego. Wystąpił do Konstantynopola jako pośrednik natrafił na tak wielkie trudności, że trzeba było zaniechać tego projektu. A oto jeden z przytoczonych argumentów: zainicjowanie jakichkolwiek prac na terenie Egiptu jest rzeczą niemożliwą, gdyż jedynie wicekról jest do tego upraw-

niony. Wobec takiego stanu rzeczy rezygnuję z moich starań i czekam pomyślniejszej sytuacji. Tymczasem zajmuję się rolnictwem oraz budową wzorowej fermy w niedawno nabytym majątku mojej teściowej p. Delamalle.

Dopiero w 1854 r. otrzymuje Lesseps niesłychanie ważną dla jego planów wiadomość: dowiadujemy się o tym z listu do konsula generalnego Holandii, wysłanego 15-go listopada z La Chenaie.

Znajdowałem się właśnie wśród murarzy i cieśli, zajęty nadbudową piętra starego, rowowego zamku Agnes Sorel, gdy na podwórzu ukazał się listonosz z paryskim Kurierem. Robotnicy przesłali mi moje gazety i listy podając je jak cegły z ręki do ręki. Nie wyobraża Pan sobie, jaką niespodzianką była dla mnie wiadomość o śmierci Abbas-Paszy



Pomnik Ferdynanda Lessepsa w Port-Said
Dzieło Frémienta

Odsłonięty w dn. 17 listopada 1899 r.
W medalionie napis: *Aperire terram gentibus*
(Ziemię narodom otworzyć)

i wstąpieniu na tron przyjaciela naszej młodości, inteligentnego i ujmującego Paszy Saïda. Jak najprędzej zszedłem z rusztowania, by dla nowego wicekróla przygotować pismo gratulacyjne. Przypomniałem mu, że obecnie polityką się nie zajmuję i chciałbym skorzystać z okazji, żeby mu złożyć hołd... Wyruszą, gdy tylko będzie mi znany czas jego powrotu z Konstantynopola, gdzie miał uzyskać inwestyturę. Odnosił mi natychmiast naznaczając początek listopada jako termin naszego spotkania w Aleksandrii. Chce, by Pan w pierwszym rządzie dowiedział się, iż nie omieszkać punktualnie przybyć na to spotkanie. Cóż za szczęście znów zobaczyć się w naszym starym Egipcie! Ale proszę aż do mojego przyjazdu — ani słowa nikomu o moich sueskich planach!

W dzienniku dedykowanym p. Delamalle opisuje Lesseps swą działalność na terenie Egiptu, zmierzającą konsekwentnie do realizacji sueskich projektów.

9 listopada.

Rano odwiedziłem księcia w pałacu jego oïca Ras El-tin, na molo portowym. Pozwolił mi uczestniczyć w pierwszej audiencji udzielonej generalnemu konsulowi sardyńskiemu, który wyczytał mu listy uwierzytelniające. Po audiencji... mieliśmy długą, bardzo interesującą rozmowę o najlepszych zasadach rządzenia. W trakcie dyskusji nie padło ani jedno słowo na temat kanału... Jestem zmuszony z wielką ostrożnością zabiegać wokół tej sprawy, gdyż wedłũa informacji Ruissenaersa wicekról przed wstąpieniem na tron miał oświadczyć, iż jego ojciec odrzucił plan przekopania Przesmyku Sueskiego, obawiając się bowiem trudności ze strony Anglii; gdy zaś nrewalikiem on obejmie władzę, pójdzie za przykładem oïca. Ta okoliczność nie jest dla mnie zbyt zachęcająca, ufam jednak mocno w pomyślną realizację mego przedsięwzięcia.

W kilka dni później wicekról wyrusza do Kairu, jadąc konno przez pustynię na czele dziesięcioletniej armii. Lesseps towarzyszył mu w tej wyprawie na pięknym rumaku otrzymanym w darze od księcia, przy czym jako doskonały jeździec, zyskuje sobie wielkie uznanie wojskowego otoczenia władcy. Podczas podróży ani na chwilę nie zapomniał sueskich planów, decydując się wreszcie przedstawić księciu swój projekt.

Poprzez wspólne rozmowy o charakterze ogólnym — pisze Lesseps — ksiądz nauczył się już, moim zdaniem, dostrzegać korzyści płynące dla każdego rządu, który zezwala towarzystwom akcyjnym na wykonawstwo wielkich robót publicznych. Radosne przeczucie, jakie mnie opanowało na widok tęczy, wznieciło nadzieję, że dzień ten przyniesie rozstrzygnięcie sprawy kanału.

Dnia 15 listopada 1854 roku przybywa Lesseps do namiotu wicekróla.

Ksiądz był wesół i dobrej myśli; ścisła mi rękę, chwilę ją przetrzymując i prosi, bym usiadł obok niego na sofie. Byliśmy sami. Przez otwór w namiocie patrzę na piękny zachód słońca... W tej chwili, kiedy miałem postawić pytanie tak wielkiej wagi dla mojej przyszłości, byłem zupełnie spokojny i opanowany. Moje studia i rozważania dotyczące kanału... jasno rysowały mi się w umyśle. Przedstawiłem władcy projekt w ogólnym zarysie... przy czym powoływałem się na najbardziej istotne argumenty wyłuszczone w mojej rozprawie... Mohamed-Said uważnie wysłuchał mych wywodów. Na prośbę, żeby był łaskaw podzielić się ewentualnymi wątpliwościami, wypowiedział kilka uwag z pełnym zrozumieniem zagadnienia... Wreszcie rzekł do mnie: „Przekonał mnie Pan i plan pański przyjmuję; podczas podróży zajmiemy się środkami potrzebnymi do jego wykonania. Jest to sprawa postanowiona i może Pan na mnie liczyć”.

Zgodnie z życzeniem księcia zredagował Lesseps natychmiast po powrocie z audiencji oficjalne pismo do Jego Wysokości Mohamed-Saïda, wicekróla Egiptu i innych prowincji, uzasadniając korzyści płynące z przekopania Przesmyku Sueskiego.

Połączenie Morza Śródziemnego z Czerwonym jest przedsięwzięciem zwracającym swą użytecznością uwagę wszystkich wielkich ludzi, którzy Egiptem rządzili lub na jego terytorium podróżowali: Sesostris, Aleksander Wielki, Cesar, arabski zdobywca Amru, Napoleon I i Mohamed-Ali zajmowali się tym zagadnieniem. Kanał łączący poprzez Nil oba morza istniał już w starożytności. Najdawniej, jeszcze za egipskich dynastii przez dłuższy, bliżej nieokreślony przeciąg czasu, następnie w okresie trwającym 445 lat, począwszy od panowania pierwszych następców Aleksandra Wielkiego i podboju Egiptu przez Rzymian do połowy IV w. przed Hedżrą i wreszcie w trzecim okresie, w 130 lat po zdobyciu kraju przez Arabów. Wkrótce po przybyciu do Egiptu gen. Bonaparte powołał komisję inżynierów w celu przeprowadzenia badań nad możliwością odbudowy kanału. Badania wypadły pomyślnie i kiedy uczoney Lepère składał mu sprawozdanie, Napoleon oświadczył: „Jest to wielkie dzieło, którego nie należy podejmować zbyt pochopnie, ale być może rząd turecki zyska sobie stałe realizując kiedyś te plany”. Obecnie nastąpiła chwila, gdy proroctwo Napoleona może być spełnione. Dzieło przebicia Przesmyku Sueskiego przyczyni się przede wszystkim do podtrzymania Państwa Otomańskiego i dowiedzie tym, którzy przepowiadali niedawno jego upadek, iż państwo to zdolne jest do wpisania wspaniałej karty w księdzę historii cywilizacji.

Dalej w piśmie swym podkreśla Lesseps dla przykładu znaczenie, jakie państwa europejskie przywiązują do panowania nad Cieśniną Dardaneelską, zwracając uwagę na analogię wobec przysięgłego Kanału Sueskiego.

Jeśli się stworzy w innej części Państwa Otomańskiego podobną, lecz jeszcze ważniejszą pozycję, gdy przekopanie Przesmyku Sueskiego uczyni z Egiptu szlak handlowy na światową skalę, tym samym podwójnie wzmocni się na wschodzie jego wielkie znaczenie. Europejskie zaś mocarstwa będą traktować sprawę neutralizacji tej nowej drogi handlowej jako zagadnienie życiowej wagi, w obawie, by kanał nie wpadł w ręce tego czy też innego państwa...

Następnie przytacza Lesseps koncepcje różnych wybitnych inżynierów dotyczące projektowanego kanału, podkreślając konieczność wyboru najlepszego rozwiązania. Stwierdza jednak, że najważniejszą sprawą jest kwestia sfinansowania przedsięwzięcia i stworzenia w tym celu towarzystwa akcyjnego. Dalej wskazuje na ogromne korzyści i udogodnienia, które przyniesie zbudowanie kanału, zwracając z naciskiem uwagę na bezpieczeństwo i poprawę warunków podróży do Mekki. Wreszcie zwraca się do wicekróla w patetycznych słowach:

Imiona egipskich władców, budowniczych piramid — pomników ludzkiej pychy, poszły przeważnie w zapomnienie, lecz imię księcia, który otworzy wielki kanał, błogosławione będzie przez stulecia aż do najdalszych pokoleń...

Wkrótce po przybyciu do Kairu, 21 listopada 1854 r., udaje się Lesseps z polecenia wicekróla do generalnego konsula Anglii p. Bruce, by poinformować go o planach sueskich i przedłożyć mu odpowiednie dokumenty. Widać w tym pośpiechu, jak wielką wagę przywiązywano do porozumienia z największą wówczas potęgą morską.

...Konsul wyjaśnił mi, iż wprawdzie nie może jeszcze zająć stanowiska w imieniu swego rządu, który

zostanie dopiero o mojej wizycie powiadomiony, ale nie obawia się wyrazić swego osobistego poglądu. Otóż nie przewiduje on opozycji ze strony Anglii, jeśli żadne z mocarstw nie wystąpi z chęcią umocnienia swych wpływów na tym terenie, sprawa zaś będzie dotyczyć jedynie prywatnych kapitałów w zalegalizowanym przez głowę państwa przedsiębiorstwie; na to oświadczyłem p. Bruce, iż podzielam jego zdanie.

Angielski konsul gen. zajął wprawdzie nadspodziewanie tolerancyjne stanowisko, jednak wyraził jedynie swoje osobiste poglądy. Lesseps nie wątpił, że będzie miał trudności ze strony Anglii, zadróżnie strzegącej swoich wpływów na Bliskim Wschodzie. Znał politykę angielską w tym rejonie nie tylko z własnych obserwacji, ale również dzięki opowiadaniom swego ojca hr. Macieja Lessepsa. Hr. Maciej, jako przedstawiciel Francji w Egipcie z ramienia Bonapartego, doprowadził do objęcia władzy przez Mohamed-Alego wbrew woli Anglii popierającej fanatycznych Mameluków. W notatce z 15 stycznia 1855 r. daje Lesseps syntetyczny obraz polityki angielskiej w Egipcie, nie pozbawiony jednak pewnego subiektywizmu.

Jestem przekonany, że Anglia zyska więcej niż jakikolwiek inny kraj w związku z otwarciem tej drogi handlowej, ale trudno nie przyznać, iż odwieczne samolubna polityka Wielkiej Brytanii otrzymała cios w samo serce; toteż zwoleńnicy przestarzałych tradycji są bardzo podnieceni. Byłem na to przygotowany, dzięki bowiem opowiadaniom mego ojca i na podstawie własnego doświadczenia mogłem lepiej niż kto inny śledzić politykę Anglików w Egipcie. Dlaczego wystąpili z całą potęgą, aby rozbić wyprawę Bonapartego? Dlaczego ochraniali rozrywających jedność kraju Mameluków, którzy niszczyli handel zagraniczny, a urodzajną dolinę Nilu zamieniali w pustynię? Dlaczego w 1840 r. zachęcali całą Europę do przymierza przeciwko Turcji i Mehmed-Alemu, chcąc zahamować jego działalność cywilizacyjną? Dlaczego służyli radą i pomocą Abbas-Paszy, reakcyjnemu fanatykowi, którego opatrność usunęła na szczyście w chwili, gdy miał doprowadzić do ostatecznego rozbitcia i ruiny Egiptu. Istnieje jeszcze w Anglii partia pragnąca utrzymać wicekróla w roli jakiegoś indyjskiego radcy, którego wybrkom tak długo się pobbija, aż całkiem otepieje i za jedyne wyjście z sytuacji uzna protektorat obcego mocarstwa lub sprzedaż własnego państwa. Żyją jednak na szczyście w tym kraju wolności rozumni ludzie z sercem, którzy prędzej czy później zdobędą uznanie ogółu.

Podczas gdy Austria, Hiszpania i Holandia nie stawały żadnych przeszkód, ambasador angielski w Konstantynopolu usposobiony był niechętnie do sprawy kanału; odwiekał sprzecyzowanie stanowiska Anglii, udzielając wymijających odpowiedzi. Turcja, gdzie wpływy Anglii odrywały wówczas dominującą rolę, uzależnia swa decyzje od stanowiska poźeżnego ambasadora lorda S'traford-Canninga. Stosunek rządu tureckiego do planów sueskich byłby życzliwy, gdyby nie obawa komplikacji politycznych. W liście do wicekróla pisanym w Konstantynopolu 15 lutego 1855 r. donosi Lesseps o aktualnych nastrojach, jakie panują wśród przedstawicieli rządu.

Nie ukrywano przede mną, że władze znajdują się pod presją (nie śmiano użyć słowa zależność) angielskiego ambasadora, zwanego tu powszechnie sultanem Stratford lub Abdul-Canningiem... Dowiedziałem się, iż lord Stratford jest osobiście jak najbardziej wrogo do mego planu usposobiony. Mimo iż nie otrzymał od swego rządu żadnej oficjalnej instrukcji, ma zamiar tak postępować, jakby je posiadał, przy czym będzie się kierował jedynie swoją żądzą panowania, głęboko zakorzenioną zadróżnością w stosunku do uszytkiego, co francuskie oraz odwiecznym bry-

tyjskim egoizmem. Wątpię, czy Wielki Wezyr Reszid-Pasa odważy się zrzucić to jarzmo, które już nieznośnie mu ciąży.

W czasie pobytu w Konstantynopolu Lesseps wręczył Wielkiemu Wezyrowi list wicekróla Saída i na poufnej audiencji omawiał trudności dyplomatyczne. W trakcie rozmowy pozwolił sobie na następującą uwagę:

Jedyna rzecz, której się Wasza Wysokość obawia w związku z tą sprawą, to nie tyle opozycja Anglii, ile uprzedzenia jej przedstawiciela, który przez swą żądzę panowania w poważnej mierze zagraża autorytetowi i godności waszego władcy!

Jednak mimo rozmowy Wielkiego Wezwa ze Stratfordem sprawa nie postąpiła naprzód. Wkrótce potem podczas przyjęcia w angielskiej ambasadzie Lesseps rozmawia z lordem, a następnie posyła mu dokumenty omawiające sprawę Kanału. W liście do ambasadora stara się wykazać wielkie szkody, które by wyniknęły z niezgodnego stanowiska Anglii i Francji; występując jako przedstawiciel władcy Egiptu, usiłuje nakłonić Stratforda do zmiany stanowiska w sprawie kanału.

Wicekrólowi chodzi szczególnie o to, by Egipt i Państwo Otomańskie zatrzymało inicjatywę w sprawie Kanału Sueskiego... Wasza Ekscelencja, jak przypuszczam, nie życzy sobie, żeby o Anglii, która słusznie twierdzi, iż walczyła przeciw Rosji jedynie w interesie cywilizacji, o wolność mórz, o niezawisłość Europy i całość Turcji — można było powiedzieć, że ona jedna występuje hamująco w sprawie planów sueskich; dzieło to jest przeciw szczególnie pomyślne dla urzeczywistnienia zasad przymierza między Anglią, Austrią i Francją oraz utrzymania pokoju na wschodzie.

W odpowiedzi ambasador przesłał pismo w uprzejmie wymijającym tonie.

Sprawa planowanej budowy kanału nabiera rozgłosu znajdując odbicie w prasie. Dyskusje nad problemem neutralizacji komplikują zagadnienie. Pisze o tym Lesseps w liście adresowanym w Aleksandrii 8 lutego 1855 r. do swego brata hr. Teodora, przyczynając jednocześnie treść krótkiej rozmowy ze Stratfordem. Na oświadczenie ambasadora, charakterystyczne, jeśli chodzi o jego stanowisko w sprawie projektów sueskich, odpowiada Lesseps repliką utrzymaną w bardzo stanowczym tonie.

Widzę — pisze Lesseps — że prasa znów zajmuje się neutralnością Kanału; rozważają, czy taki akt ma być wstępem, czy też zakończeniem ostatecznej jazy przedsiębiorstwa. Uzależnienie realizacji tych projektów od ratyfikacji przez wszystkie państwa oświadczenia o neutralności, złożonego przez wicekróla Saída... mogłoby odsunąć termin rozpoczęcia budowy na więcej niż sto lat. Lord Stratford oświadczył mi w Konstantynopolu co następuje: „Wszystkie wywody Pana są bardzo słuszne i jeśli to przedsięwzięcie się uda — będzie dziełem wielkim i chwalebny Panu przyniesie. Może to być jednak wykonalne dopiero za sto lat. Chwila obecna jest niedogodna“. Odpowiadając mu rzekłem: „Mylordzie, o ile chwila ta jest nieodpowiednia dla Waszej Ekscelencji, który sobie tego nie życzysz, o tyle jest dogodna dla mnie, gdyż tego pragnę. Ponieważ Wasza Ekscelencja sam przyznaje, iż rzecz jest użyteczna a dla mnie chwalebna — po co ją na sto lat odkładać? 'a wówczas nie ujrzałbym zakończenia tego dzieła; wierzę jednak niewzruszenie w możliwość wykonania moich planów w niedługim czasie, śpieszę się więc, żebym sam jeszcze doświadczył tej radości.

W zakończeniu listu Lesseps raz jeszcze wraca do problemu neutralizacji:

Gdy przekopanie Przesmyku Sueskiego stanie się faktem... wtedy interes ogólny żąda, z pominię-

ciem wielu dyplomatycznych protokółów, neutralizacji kanału.

Zebrane wyżej fragmenty wspomnień sławnego inżyniera mają na celu wprowadzenie czytelnika w atmosferę i okoliczności poprzedzające budowę kanału. Wyrażenie zgody przez Egipt na realizację planów Lessepsa staje się preludium do całej batalii dyplomatycznej, od której pomyślnego zakończenia zależą losy kanału. Należy zwrócić uwagę, iż autor wspomnień przedstawia politykę Anglii na Bliskim Wschodzie w nieco subiektywnym świetle. Mówiąc o egoiz-

mie angielskim pomija milczeniem egoizm polityczny we francuskim wydaniu. Nic dziwnego — jest przecież Francuzem. Mimo, iż kontakty egipsko-francuskie miały wówczas dla kraju faraonów rzeczywiste pozytywne znaczenie, Francja bynajmniej nie zapomniała o swoich interesach. Dlatego realizacja planów sueskich to obok szlachetnych intencji inżyniera Lessepsa również rozgrywka polityczna między dwoma mocarstwami kolonialnymi na Bliskim Wschodzie.

Opracował Jerzy Grocholski

Marek Adam Jaworski

GOŁĄB PICASSA

Picassowski gołąb
okulał ostatnio.
Trzepocze skrzydłami,
behradny jak dziecko,
zagląda przez okna
w dyplomatów twarze:

„Otwórzcie, otwórzcie,
zaleczcie me rany“.

Za grube są szyby,
słaby głos ma gołąb —
trudno mu zakrzyczeć
świst armat nad Nilem,
trudno mu zagłuszyć
salwy w Budapeszcie.

* * *

Ludzie, ludzie, ludzie,
przyjmijcie gołębia.

Ludzie, ludzie, ludzie,
przytulcie gołębia,
ogrzejcie go ciepłem
serc mocno bijących.

Ludzie, ludzie, ludzie...

Marek Adam Jaworski



LISTOPAD W NORYMBERDZE 1946

(Notatki świadka w procesie)

We wrześniu 1946 r. zostałem zaproszony do Warszawy celem spotkania się z amerykańskim prokuratorem, który przyjechał z Norymbergi z misją wyszukania w Polsce świadków wysiedlania przez Niemców ludności Zamojszczyzny i zabierania rodzicom dzieci pod względem fizycznym nadających się do znieszczenia.

Zabrałem wydane już przeze mnie cztery tomy „Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944“, pracę moją o wysiedleniu ludności Zamojszczyzny, wydaną przez Główną Komisję Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce oraz kilkanaście oryginalnych niemieckich zdjęć dotyczących akcji wysiedlania — i pojechałem do Warszawy.

Rozmowa z prokuratorem amerykańskim z udziałem tłumaczki Marii Zborowskiej odbyła się w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Po pobieżnym przejrzaniu moich materiałów prokurator zapytał mnie, czy nie będę miał przeciwko temu, jeżeli on zażąda delegowania mnie w charakterze świadka i rzeczoznawcy do Norymbergi na rozprawę sądową. Oczywiście, zgodziłem się bez namysłu.

Po 2 miesiącach zostałem telegraficznie wezwany przez Ministerstwo do natychmiastowego stawienia się w Warszawie ze wszystkimi posiadanymi przeze mnie materiałami celem rychłego wyjazdu do Norymbergi. W ciągu 2 dni załatwiłem w Warszawie wszelkie formalności związane z uzyskaniem paszportu zagranicznego dla mnie i jeszcze dla 3 dzieci z Łodzi — 2 dziewczynek i 1 chłopca — i ich opiekunki Szymańskiej. Dzieci te były wywiezione przez Niemców w głąb Rzeszy, tam je najpierw odpowiednio przeszkolono i następnie pod zmienionymi już nazwiskami o niemieckim brzmieniu rozdano rodzicom niemieckim. Teraz miały one wystąpić w charakterze świadków przed Trybunałem Międzynarodowym.

Wyjeżdżając z Warszawy zacząłem pisać krótkie notatki, które podaję tu bez żadnych zmian.

1. XI. Sobota. — O godz. 13.30 wyjazd z Warszawy. Około g. 21.00 graniczna stacja Zebrzydowice. Sprawdzanie paszportów, zapytania o walutę, rewizji rzeczy żadnej.

Na pogranicznej stacji czeskiej — to samo: tylko sprawdzanie paszportów i zapytanie o walutę. Urzędnicy bardzo grzeczni.

Pasażerów mało. Wagony 2 klasy w połowie puste.

2. XI. Niedziela. — Krajobraz podobny do naszego. Stacje kolejowe zasobniejsze. Z okien wagonu w osiedlach wiejskich i miasteczkach nie widać żadnego zniszczenia.

O g. 9.00 Praga. Dworzec duży, niezbyt przyjemny. Od Pragi coraz większe wzgórza pokryte lasem. Okolice malownicze, gęsto zaludnione. Dookoła uprawiane pola, im bliżej granicy niemieckiej, tym więcej

lasów. Zniszczenia nie widać nigdzie. Dopiero na granicznej stacji czeskiej zobaczyliśmy kilka rozwalonych domów.

Po załatwieniu formalności pociąg przesunięto na graniczną stację niemiecką. Paszporty sprawdzali żołnierze amerykańscy w hełmach, z żółtymi opaskami. Mniej uprzejmi aniżeli Czesi.

Tu już częściej widać zburzone domy. Osiedla mają się inny charakter, inny styl budowy, często trafiają się zamieszkałe baraki drewniane. Osiedla robią wrażenie mniej zamożnych aniżeli w Czechach. Zbudowania brudniejsze, przybudówki niezbyt estetyczne.

O g. 17.20 Norymberga, Grand Hotel w pobliżu dworca kolejowego. Amerykanie pewni siebie — czują się tu panami. Powitał nas mjr Acht, przedstawiciel Polski, elegancki, rumiany, bardzo grzeczny i uprzejmy. Gorliwie zajęł się nami. — Spotkałem tu sędziego Sehna z Krakowa.

Kolacja (60 cent.): przystawki, zupa, indyk z różnymi dodatkami i sałatką, czarna kawa, bułki, masło.

Mieszkanie przydzielono nam w niedaleko położonym hotelu „Deutsches Haus“.

3. X. Poniedziałek. — Śniadanie w Grand Hotelu (35 cent.): przyrumienione płatki (owsiane?) z mlekiem, 2 jajka, kawa, bułki, masło, dżem.

Amerykanki bardzo wysokie. Znać dobrobyt.

Miasto: dużo domów zrujnowanych — zwłaszcza w okolicy dworca. Sporo w remoncie. Rano ruch duży. Ludzie śpieszą na 8-gą do biur i szkół. Wszyscy ubrani skromnie. Żadnej elegancji. Luksusowe samochody zauważyłem tylko zagraniczne.

Poznałem p. Pietruszkę z PCK. O g. 9.30 przyjechała po nas z sądu amerykańska Polka p. Zborowska. Po polsku mówi niezbyt wprawnie, jest w służbie amerykańskiej.

Gmach sądu olbrzymi. Formalności przy wejściu. Rewizja teczek (Amerykanie). Krótka rozmowa z prokuratorem Schwenkiem. Mjr Acht (przedwojenny adwokat z Warszawy) udzielił mi sporo ciekawych informacji. Pracuję tu sam jeden, ma do pomocy dwie sekretarki Niemki. Dba o interesy polskie. Mówi doskonale po angielsku i po niemiecku.

Z ramienia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej pracują na terenie Niemiec pp. Hrabar i Pietruszka. Wyszukują oni dzieci polskie rozsiane po całych Niemczech. Dzieją się przy tym rzeczy paradoksalne, bo nie zawsze Niemcy chcą oddać polskie dzieci, a popierają ich w tym władze amerykańskie, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieci najmłodsze, które po polsku nie umieją ani słowa a zdążyły już przywiązać się do swoich przybranych rodziców.

Amerykanie czują się tu zupełnie bezpiecznie. Napady na nich są niezmiernie rzadkie, 2—3 na rok i to

najczęściej po pijanemu. Częstsze natomiast bywają awantury z Polakami.

O g. 12.00 lunch w sądzie (50 cnt.): zupa, pomidor z farszem, marchew i inne jarzyny, pączek, kawa, bułki, masło.

Nadzwyczajne są urządzenia techniczne. Kilka pracowników fotograficznych. Przebieg rozpraw na sali sądowej jest równocześnie słyszany i drukowany nie tylko w Norymberdze, w Niemczech, lecz i w Ameryce. Tego samego dnia zainteresowanym instytucjom i redakcjom dostarczają całe drukowane tomy z przebiegiem rozpraw przedpołudniowych.

Stosunek do Niemców: osobne, przeznaczone tylko dla nich wejście do sądu. Specjalnie są kontrolowani. Na każdym piętrze osobne ustępy dla Niemców i dla nie-Niemców („Keine Deutschen“).

Niemcy na ogół są, podobno, zadowoleni z Amerykanów, czerpią różne korzyści z okupacji. W strefie francuskiej i radzieckiej czują się znacznie gorzej.

O g. 19.00 kolacja: grzanka z grzybkami, zupa, poledwica z kilkoma przystawkami, lody, kawa, bułki, masło.

O g. 21.30 kino — technicznie doskonałe, co do treści bardzo nudne. Kino amerykańskie, w gmachu niemieckiej opery, dla Niemców niedostępne.

W niezwyklej cenie są amerykańskie papierosy. Napiwki daje się papierosami. Kelnerowi np. zostawiają goście jednego papierosa, toż samo szoferowi. Paczki z papierosami są dużo wężej cenione aniżeli pieniądze. Niektóre artykuły można tu nabyć tylko za papierosy.

Na razie dostaliśmy po 64 dol. 45 cnt. bonami dolarowymi kursującymi tylko na terenie strefy amerykańskiej.

4. XI. Wtorek. — Rano w sądzie na rozprawie (w której sami nie występowaliśmy), a to w celu zapoznania się z amerykańską procedurą sądową.

Po obiedzie sprawunki w sklepach amerykańskich.

Od g. 16.00 do 18.00 konferencja z prokuratorem amerykańskim za pośrednictwem dwóch tłumaczek — Polki z Rosjanki, bądźnie doświadczonej od swej koleżanki. Prokurator co pewien czas zwyczajem amerykańskim lokował swe stopy na biurku.

Po zakończonej konferencji prokurator zapytał, czy nie zgodziłbym się na jutrzejszej rozprawie zeznać w języku rosyjskim ze względu na lepszą tłumaczkę. Oczywiście odmówiłem.

Zaprosił nas wszystkich na kolację.

5. XI. Środa — O g. 9.30 rozprawa w sądzie i moje zeznanie.

Duża sala. Czternastu oskarżonych — paru gen. SS (po cywilnemu) i jedna kobieta. Oskarżeni wyglądają mają dobry, nie znać po nich, że siedzą w więzieniu. Jednak wyraz twarzy mają smutny, skupiony. Trzech sędziów — wszyscy dość opasli i w starszym wieku. Kilku prokuratorów. Przed oskarżonymi ława obrońców. Przed podium sądu stenografi z maszynami, zmieniający się co pół godziny. Osobno z boku mała trybuna dla świadka odpowiadającego w pozycji siedzącej. Również z boku za szklaną zasłoną siedzą tłumaczkę. Publiczność mieści się w części sali odgródzonej barierą. Na poręczu każdego krzesła i fotela

wisi para słuchawek. Na stole sędziowskim, na mównicy prokuratora i obrońców oraz na trybunie świadków ruchome mikrofony. Gdy ktoś przemawia po angielsku, tłumacz zupełnie równocześnie mówi to samo po niemiecku. I na odwrót — przemówienia w języku niemieckim równocześnie podawane są w tłumaczeniu angielskim. Specjalne urządzenia tarcz przy krzesłach dają możliwość wybierania sobie dowolnie odpowiedniego języka przemówienia.

Ja mówiłem po polsku. Siedząca obok mnie tłumaczka Zborowska powtarzała to po angielsku, druga zaś mówiła to samo po niemiecku. Sprawność w ogóle nadzwyczajna. Trzeba tylko mówić pomału i wyraźnie.

Prokurator zadawał pytania bardzo mądrze obmyślane, które dawały możliwość mówić nie tylko o tym, co się widziało własnymi oczami, lecz i to, co się zna z historii okupacji. Adwokat — jak zwykle i wszędzie — starał się świadka speszyć, zaplatać i przesłać to umniejszyć znaczenie jego zeznań. — To mu się zupełnie nie udało. Na niczym nie dałem się złapać. A przewodniczący — jak mi potem mówiono — odnosił się do mnie z wyjątkową przychylnością i raz nawet przywołał adwokata do porządku, co się tu zdarza bardzo rzadko. Chodziło o zadane mi pytanie nie mające ścisłego związku z moimi zeznaniami, mianowicie jak się nazywał oficer prowadzący jakąś akcję pacyfikacyjną.

Przesłuchanie trwało przeszło godzinę. Rozwinałem zwłóży, ale rzeczowy obraz akcji wysiedleńczej w Zamojszczyźnie. Suchano mnie bardzo uważnie, notowano to, co mówię. Na stole koło mównicy prokuratorowskiej leżały 4 tomy mojego wydawnictwa z angielskimi streszczeniami. Byłem jedynym świadkiem mówiącym o Zamojszczyźnie, o wysiedlaniu, pacyfikacji i o akcji volksdeutschowskiej. Wydawnictwo moje, jak mnie informowano, ma bardzo duże znaczenie i uważane jest za źródło autorytatywne. Sprawilo mi wyjątkową przyjemność i zadowolenie, że moja mczolna praca daje rezultaty, o jakich nigdy nie śniłem.

Czułem się wprost szczęśliwy, że dane mi było reprezentować na forum międzynarodowym Zamojszczyznę i dawać głos w języku polskim mówić o jej krwawych dziejach podczas okupacji niemieckiej. I nie było we mnie ani odrobiny współczucia dla tych, co siedzieli na ławie oskarżonych.

Z wielką przyjemnością widziałem wśród publiczności kilku Polaków z sędzią Sehnem i mjr. Achtem na czele. To mi dodawało otuchy, a nawet pewności siebie.

Podczas przerwy wiele osób podchodziło do mnie dzieląc się wrażeniami. Podszedł też jeden z prokuratorów, uśmiechnięty i zadowolony, oświadczając, że zeznanie moje wypadły bardzo dobrze i zrobiły na sędziach pożądane wrażenie.

Po południu kino.

6. XI. Czwartek. — W sądzie zeznawały dzieci z Łodzi. Pierwsza — Barbara Mikołajczyk — zrobiła na sądzie doskonale wrażenie. Trzech adwokatów zadawało jej pytania. Parę razy znakomicie odparowała ich próby przyłapania jej na jakiejś nie-

ściłości lub sprzeczności. — Potem zeznawała Alina Antczakówna i wreszcie Sławek Pacześny.

Zeznania dzieci dały dobry obraz sposobów stosowanych przez Niemców przy germanizowaniu Polaków. Sąd był pod wyraźnym wrażeniem. Zainteressowanie było tak duże, że ograniczono ilość publiczności wydając specjalne karty wstępu na salę rozpraw: 10 dla prasy, 10 dla Niemców i 10 dla innych.

Po południu byliśmy na operetce Straussa „Czar walca“.

Oglądaliśmy stare miasto i zamek. Zniszczenia rzeczywiście ogromne. Ocalałe domy i resztki zachowanych fragmentów różnych gmachów i kościołów są piękne, niektóre wprost wspaniałe. Najcenniejsze stare pomniki zachowały się w stanie nienaruszonym, ponieważ były obmurowane tak solidnie, że pociski ich nie uszkodziły.

U mjra Achta widziałem i przeczytałem słynne „Dzienniki“ Franka — 38 ogromnych tomów, pisanych na maszynie, oprawnych. Amerykanie oddali te bezcenne dla nas pamiątki Polsce. Jest to bardzo duża zagłada mjra Achta.

7. XI. Piątek. — Łaziłem sam po mieście, oglądałem sklepy — po obiedzie balet. — Wieczorem u tłumaczki Zborowskiej.

8. XI. Sobota. — Przed południem łażenie po mieście. W niemieckich sklepach wszystko bajecznie tanio, lecz tylko na kartki. Bez tego można kupić jedynie drobnostki i to straszną tandetę.

O ile mogłem w ciągu kilku dni poznać miejscowe stosunki, to nie są one nazbyt przyjemne. Polacy zajmujący jakieś oficjalne stanowiska żyją w zam-

kniętym kole. Stykają się tylko z Amerykanami, unikają wszelkich kontaktów — nawet zwykłych znajomości — z Polakami mieszkającymi, tu od paru lat i nie powracającymi na razie do kraju. Wszyscy są tu niezwykle ostrożni, opanowani, liczą się z każdym słowem, nieufni w stosunkach wzajemnych. Podobno wszyscy są pilnie strzeżeni i szpiegowani. Zdaje się, że i my jesteśmy ściśle obserwowani.

Mężcy już mnie ta atmosfera obcości, nieznanymi języki (angielski i niemiecki). Coraz bardziej zaczynam tęsknić do kraju, do domu. Chciałbym już jak najprędzej wracać, lecz na specjalne zaproszenie IRO mamy jeszcze na parę dni jechać do Stuttgartu.

10. XI. Poniedziałek. — O 7 rano przyjechaliśmy do Stuttgartu, skąd koleją elektryczną do Ludwigsburgu.

Po południu „miting“ dla pracowników IRO i Cz. K. — około 100 osób. O swoich kolejach opowiadały dzieci z Łodzi, ja mówiłem o Zamojszczyźnie, o wysiedlaniu i pacyfikacji, opiekunka Szymańska o rewindykacji dzieci polskich. Witano nas i podejmowano nadzwyczaj gościnnie i uprzejmie. Po zebraniu dzieci dostały bardzo dużo prezentów, p. Szymańska i ja piękne chryzantemy. Wieczorem byliśmy w klubie na zebraniu towarzyskim. Polacy dopytują się o moje wydawnictwa.

Rażą mnie antagonizmy pomiędzy zwolennikami „Rządu Warszawskiego“ i „Rządu Londyńskiego“.

11. XI. Wtorek. — Stuttgart. Byłem w księgarni pod nazwą „Dom Książki Polskiej“. Kupiłem kilka książek wydanych na emigracji.

Po paru dniach wróciliśmy do Polski.

Zygmunt Klukowski

Fryderyk Schiller

PEGAZ W JARZMIE

Spolszczył EUGENIUSZ GOŁĘBIEWSKI

Zył poeta pewien w nędzy.
Nic już nie miał prócz Pegaza,
Zdobyc tedy chcąc pieniądze,
Zwierzę swe na targ sprowadza.

Rwie się w górę koń jak smok,
Rzy rozgłośnie, okiem błyska,
Staje dęba, bieży w skok
I dziwiają się ludziska:
„Piękna głowa, szyja śmigła,
Ale na co mu te skrzydła?
Czy on zechce pójść w karecie?
Pegaz latać będzie przecie“.

„Mogę z niego mieć korzyści“ —
Pachciarz pewien sobie myśli —
„Lecz skrzydełka wezmę w tyka,
Bo pegazy lubią brykać“.
I, sięgnawszy do kalety,
Kupił konia u poety.

Zaprzęgnięto smoka w wóz,
Każąc mu, by towar wioził.
Wzbił się w górę koń wspaniały
I pogubił towar cały.

„Dobrze — mówi wtedy pan —
Inny na cię sposób mam:
Ciężka praca na ugorze
Ustatkuje cię, nieboże“ —
I do pluga zaprząc kazał
Wołu swego i pegaza.

Muszą tedy orać razem
Twardą rolę wót z pegazem.
Pegaz rwie się, miota, zżyma
I do lotu się napina,
Lecz nic z tego — Wót powoli
Po ugornej stąpa roli
I ptak musi wśród mozołu
Dostosować się do wołu.

W końcu już wydołać nie mogli
Uskrzydłony, boski biegun
I u stóp swojego pana
Pada Pegaz na kolana.

Pan za batog w gniewie chwytą,
By wysmagać hippogryfa,
Aż tu chłopiec jakiś biegnie,
Z cytrą w rękę, odzian pięknie,
Z ocz mu młodość bije dziarska,
W jasnych lokach łśni przepaska.
„Co ja widzę? Ptaka z wołem

Zaprzęgnęli w pług pospołem!
Hej! Pozwólcie mi na Boga
Zażyć tego wiatronoga“!

Gdy hippogryf mistrza poczuł,
Skrami błysnął z boskich oczu
I, napiąwszy wlot wędzidła,
Rozpościera pyszne skrzydła,
By, szybując jak natchnienie,
Wzlecieć w górę ponad ziemię.

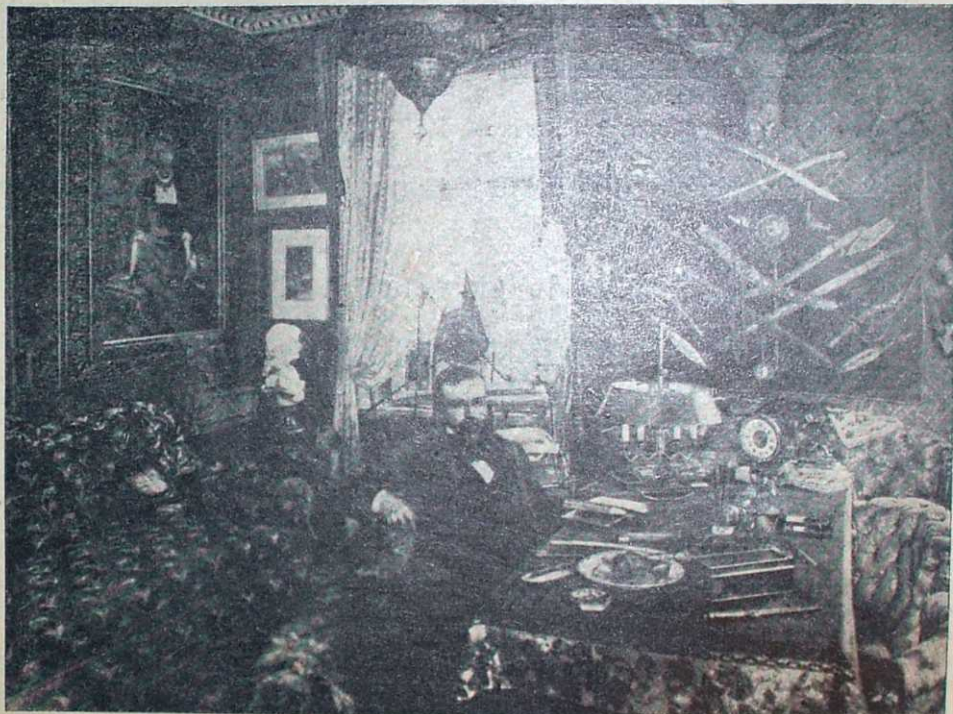
Spolszczył
Eugeniusz Gołębiowski

Roman Rosiak

KILKA SMUTNYCH SPOSTRZEŻEŃ

Światowa sława towarzysząca twórczości Henryka Sienkiewicza, jego popularność, kult, jaki żywiło społeczeństwo dla „Pierwszego Polaka”, jakaś niezwykła atmosfera otaczająca pisarza za życia — wszystko to

jątek w Oblęgorku. W Warszawie zorganizowano wystawę sienkiewiczowską. Śmierć Sienkiewicza skwitowało piśmiennictwo ponownie liczbą ponad 200 prac. Przewiezienie zwłok pisarza w 1924 r. odbiło się



zdawało się być wystarczającą gwarancją, że pozostanie on i po śmierci obiektem żywego zainteresowania.

Czy tak jest istotnie?

Przyjrzyjmy się bliżej cyfrom.

W 1900 roku z okazji jubileuszu Sienkiewicza prasa i literatura zanotowały na swoim koncie ponad 200 pozycji (tylko ważniejszych) poświęconych pisarzowi. Społeczeństwo zaś podarowało twórcy „Trylogii“ ma-

głębokim echem w pismach, czego dowodem jest ponad 3000 artykułów i notatek.

Pamięć Sienkiewicza czczono stypendiami, żłobkami, bursami, fundacjami, towarzystwami, ulicami, szkołami nazywanymi jego imieniem. Organizowano wystawy, poświęcano mu utwory, usypano kopiec w Okrzei, postawiono pomnik w Bydgoszczy itd. Ale... tak b y ł o.

Dziesiątą rocznicę śmierci w 1926 roku powitały już tylko 23 artykuły i prace, dwudziestą — w 1936 roku — 26 prac.

Po wojnie, w setną rocznicę urodzin pisarza — w 1946 r. ukazało się zaledwie 16 prac, a w 1951 r. — w 35 rocznicę śmierci — tylko 9. Wystawy były dwie: obie w 1946 r. (jedna z nich — w Lublinie: „Sienkiewiczowskie wydania książek w szkołach im. A. i J. Vetterów“).

120 rocznica urodzin Sienkiewicza odchodzona w br. również miała bardzo skromny charakter. Nieodparcie narzuca się przykry wniosek: za mało zainteresowania

Sienkiewiczem wykazuje prasa i krytyka literacka. A przecież wysiłki historyków literatury, z profesorem Julianem Krzyżanowskim na czele, przyniosły plon w postaci 60-tomowego wydania Dzieł Sienkiewicza oraz Kalendarz życia i twórczości pisarza, jedyną u nas tego rodzaju pomoc dla badaczy piśmiennictwa polskiego. Nie można więc narzekać na brak materiałów.

15 listopada br. minęła czterdziesta rocznica śmierci autora „Trylogii“. Jest to chyba właściwy moment, by przypomnieć o tych sprawach.

Roman Rosiak

Julian Kot

ZPAP WYMAGA REORGANIZACJI

Wszyscy wiemy, że bzdurny kierunek zwany socrealizmem, który do niedawna w oficjalnej sztuce polskiej panował, zahamował naszą współczesną twórczość plastyczną, a najdotkliwiej odtulił się na pracy młodych, nie zorientowanych w sztuce plastyków. Kierunek ten wprost ich ogłupił. Dowody, że tak było istotnie, spotyka się dziś często, bo trudno niektórym plastykom wybić z głowy nagrodę otrzymaną za socrealistyczne „dzieło“ i wytłumaczyć, że praca nagrodzona i nawet zreprodukowana może równać się zeru.

Obecnie mamy już świeży powiew twórczych nastrojów w plastyce i okno szeroko otwarte na świat wolnej sztuki. Hasłem była wystawa w Arsenale. Mieliśmy szereg indywidualnych pokazów prac artystów oraz grup twórczych w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Sopocie, Poznaniu czy Katowicach. Podążamy bardzo szybkim krokiem do nowoczesnych form plastycznych. Coraz liczniej powstają grupy artystyczne wiążące ideologicznie plastyków lub organizujące ich dążenia we właściwym kierunku twórczości. Jedną z takich grup powstała też, jak wiemy, w Kazimierzu. Należą do niej artyści z Warszawy oraz przynależni do okręgu lubelskiego z Kazimierza.

Oczywiście zdrowy ten ruch artystyczny zasługuje na jak największe poparcie ze strony ZPAP. Jest to naturalna forma organizacji społeczno-artystycznej, zmierzająca do realizowania zadań plastycznych zespołowo. Wybuchła silna reakcja przeciwko organizacji ZPAP, która w okresie socrealizmu była traktowana jako jego naczelna grupa artystyczna i wskutek tego była i jest dotąd uważana przez plastyków, ze względu na statut, za związek twórczy.

ZPAP musiał być w swoim czasie takim związkiem twórczym w duchu socrealizmu. To było zagwarantowane przecież odpowiednim paragrafem statutu. Ale dziś socrealizm w sztuce należy do przeszłości i związek powinien powrócić do swej roli, jaką chlubnie spełniał w Polsce w ciągu lat około trzydziestu, do r. 1939. W tych czasach istniały liczne grupy plastyków, jak Sztuka, Rytm, Pro arte, Zwornik, Jednoróg, Przymat, Blok, a. r., Bractwo św. Łukasza, Łoza malarzka itd. Związek Plastyków w tym okresie załatwiał bytowe sprawy plastyków, a co najważniejsze popierał swoich członków należących do tych różnych grupowań ideologicznych.

Dziś nie możemy zgodzić się, aby ZPAP miał służyć jakimkolwiek programowi ideologicznemu. Wyręczą go grupy artystyczne do tego powołane i to powołane wyłącznie. Musimy dążyć do tego, aby Związek wysunął na czoło swych zadań właśnie sprawy bytowe członków i bronił ich interesów w takich

przede wszystkim organizacjach, jak np. Desa, PSP, czy CBWA. Odegrały one pewną rolę w życiu naszych plastyków i program ich działalności powinien być szeroko w Związku przedyskutowany. Muszą być wysunięte wnioski w sprawie rozbudowy lub ewentualnego przekształcenia organizacyjnego tych pożytecznych placówek.

Związek, od czasu założenia go w Krakowie, jest stowarzyszeniem, które grupuje plastyków pracujących zawodowo i był stałe terenem załatwiania ich spraw bytowych, a przede wszystkim miał na celu popieranie twórczości plastycznej członków nie narzucając im żadnej ideologii, żadnego programu twórczego, pozostawiając te sprawy grupom twórczym.

Trzeba sobie zdać sprawę, że biorąc z grubsza, po wojnie do czasu wystawy w Arsenale nie istniał publicznie żaden twórczy kierunek w plastyce. Całe życie pseudotwórcze plastyków polskich było zogniskowane w statucie ZPAP, co jest wyraźnie wskazane w statucie Związku jeszcze dziś, niestety, obowiązującym.

Sekcje twórcze w ramach związku nie uratowały sytuacji, gdyż nad wszystkim panował i dziś na papierze panuje socrealizm. Nadszedł czas, aby z dotychczasową formą działalności Związku Plastyków całkowicie zerwać na odcinku organizacji jakiegokolwiek twórczej pracy prowadzonej przez sam związek. Swobody twórczej nie trzeba organizować — jak to słusznie powiedział Jerzy Andrzejewski.

Trzeba przywrócić Związkowi właściwy mu charakter instytucji zawodowej, jako stowarzyszenia, a plastykom, członkom związku, pozostawić swobodę w wyznawaniu swojej twórczej wiary i w organizowaniu grup artystycznych.

Dotychczasowy styl organizacyjny ZPAP odbił się przede wszystkim fatalnie na przyjmowaniu nowych członków do związku czy urzeczywistnianiu członków kandydatów. Np. w okręgu lubelskim na około 50 członków jest obecnie ponad 20 kandydatów, a 12 stara się o urzeczywistnienie. Są fakty tak paradoksalne, jak ten, że członek założyciel Związku Plastyków w Lublinie i zarazem członek byłej Rady Związków Zawodowych Polskich Artystów Plastyków w Krakowie, nie jest dotychczas członkiem rzeczywistym. Związek był i jest zamknięty przed zawodowo pracującym plastykiem. Spowodowało to nawet alarmy w prasie, jak np. opublikowana w „Trybunie Ludu“ sprawa pewnego malarza, którego nie przyjęto do Związku. Nazwano go w prasie z ironią malarzem „nielegalnym“.

Ten stan odbija się również na kształtowaniu wystaw dorocznych. Ograniczono udział w nich członkom, których rozwój plastyczny, znana nieraz i długoletnia praca, nie odpowiada poglądom artystycznym jury danej wystawy okręgowej. A przecież każdy członek ma prawo nie tylko wziąć w niej udział, ale też swój dorobek na takim dorocznym pokazie we właściwy sposób pracami swoimi scharakteryzować. Wystawa okręgowa nie jest przecież pokazem grupy artystycznej, ale tylko przeglądem treściwym prac członków Związku o różnych programach wypowiedzi plastycznej.

Wystawy te żadną miarą nie mogą być wyrazem poglądów artystycznych dominujących w danym jury czy Związku. Dotychczasowy stan rzeczy w ZPAP trzeba koniecznie zmienić, dopuszczając do udziału w wystawach dorocznych wszystkich członków pragnących przedstawić społeczeństwu swoje najbardziej typowe prace bez względu na ich charakter, gdyby nawet różniły się od typu prac współczesnego twórczego plastyka. Trzeba zabiegać o największą liczbę wystawców i w ten sposób dążyć do rozbudowania jakby różnorodnej całości w formie wystawy sztuki.

Nonsensem byłoby sądzić, że każdy plastyk zawodowy jest twórcą i autorem „dzieła sztuki”, które nie

zawsze jest i musi być przedmiotem pracy zawodowego plastyka. Członkami ZPAP byli, są i będą zawodowi plastycy, wyłącznie oddani swej pracy artyści, z których dopiero wyrastają twórcy, czasem nieoczekiwanie pojawiają się twórcy dzieł. Nie można i nie należy popolitować tak wielkich słów jak *twórczość*, twórcy i ich dzieła. Oto jak mówi o dziele np. Alfons Germain: „Jeżeli praca twa, artysto, zależy od przypadkowego spotkania, możesz zrobić dobry obraz, dzieła wszakże nie stworzysz nigdy”.

Na blisko 4000 członków ZPAP nie mamy naprawdę zbyt wielu twórców dzieł, ale wszyscy członkowie Związku — to artyści zawodowcy, mający prawo do własnych poszukiwań twórczych, do wkraczania w świat sztuki, celem wzbogacenia jej w nowe oryginalne dzieło.

ZPAP nie może być zatem synonimem związku twórczego ani też nie można go i nie należy uważać w jakimkolwiek sensie za związek twórczy. Wszelka ideologia twórcza z ram organizacyjnych Związku Plastyków musi być bezwarunkowo usunięta.

Julian Kot

ZENON KONONOWICZ

Zenon Kononowicz, urodzony 15 maja 1903 r. w Nowogródku, ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie w 1930 r., gdzie się uczył w pracowni Feliksa Kowarskiego i Józefa Pankiewicza. Studiował również we Francji i Włoszech. Wystawiał obrazy nieomal we wszystkich większych miastach Polski — w Warszawie,

nie. Następnie szereg nagród na wystawach w Szczecinie i pierwszą nagrodę plastyczną miasta Szczecina.



Krakowie, Lublinie, Poznaniu, Lwowie i Wilnie — począwszy od 1929 r., za granicą — w Rzymie i Nowym Jorku. Otrzymał nagrody: w 1937 r. za pejzaż marynistyczny z Helu; w 1938 r. w ogólnopolskim salonie warszawskim za pracę pt. „Kopanie ziemniaków”; w 1939 w salonie lubelskim za pracę pt. „Orka”; w 1944 r. pierwszą nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lubli-



Pani Gajewska

Maluje techniką olejną, uprawia rysunek o kresce nerwowej — silny i mocno zbudowany. Z pasją oddaje pejzaż polski — motywy Szczecina, następnie Nałę-



Rynek w Kazimierzu

czowa, ostatnio Kazimierza nad Wisłą, w którym od 3 lat zamieszkuje. Maluje kwiaty, martwe natury, akty, pełne charakteru portrety. Wszystkie obrazy noszą cechy żywiołowego temperamentu, wszystkie jednak są starannie obmyślane i zbudowane, mieniące się od barw.

Obecnie przygotowuje się Kononowicz do indywidualnej wystawy w Warszawie. W pracy artysty poważną przeszkodę stanowi brak pracowni o oświetleniu

górnym lub północnym. Dwa duże pokoje, jakie zajmuje w odbudowanej zabytkowej kamienicy w Kazimierzu przy ulicy Senatorskiej, nie nadają się zresztą nie tylko na pracownię, ale i na mieszkanie z powodu braku pieców.

Lublin zna Kononowicza z całego szeregu jego prac wystawianych rokrocznie, a nawet 2 razy do roku, na wystawach Lubelskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, którego jest członkiem.

M

Edmund Grzybowski

LUDZIE BUDUJĄ ZAUFANIE

Można bez przesady powiedzieć, że nigdy jeszcze w okresie powojennym nie było tak dużego zainteresowania ze strony społeczeństwa lubelskiego sprawami polityki i życia partii, jak obecnie. Nigdy też dotąd członkowie partii nie przejawiali tak silnej prężności politycznej. W całej partii w Lubelszczyźnie na zebraniach wyborczych w organizacjach podstawowych toczy się dyskusja nacechowana szczerością i prawdą wypowiedzi dyskutujących, którzy czują się wreszcie gospodarzami we własnej partii. Znikają schematy i formułki, słowa, które nic nie znaczą. Hasła i in-

strukcje zastępuje myśl polityczna. Ocena przeszłości nie przestaje być centralnym tematem dyskusji, ale nie jest ich wyłącznym celem. Rozrachunek z przeszłością jest punktem wyjścia dla ustalenia zadań w chwili obecnej i w najbliższej przyszłości.

Jacy ludzie są w stanie zagwarantować realizację nowego programu politycznego i gospodarczego partii w Lubelszczyźnie — oto problem aktualny wobec zbliżających się wyborów do powiatowych władz partyjnych (w pierwszych dniach grudnia) i wojewódzkich (w drugiej połowie tego miesiąca).

Na delegatach na konferencje powiatowe i wojewódzką spoczywać będzie trudny obowiązek wydania surowego, ale sprawiedliwego i nie powierzchownego sądu o ludziach. Postawa działaczy partyjnych w okresie poprzedzającym bezpośrednio VIII Plenum KC, w szczytowych dniach naszej rewolucji, w tygodniach, które minęły od 19 października — oto elementy, które przede wszystkim powinny decydować o tej ocenie, obok kryteriów wartości moralnych, wiedzy i talentów organizacyjnych. Walka o demokratyzację w naszym województwie trwa nadal, jak zresztą w całym kraju, przez jej pryzmat najlepiej dostrzec, kto znajduje się w szeregach rewolucjonistów, a kto do nich doszłusował bez głębszego przekonania, kto z ulgą zrzucił z siebie ciężar stalinizmu, a kto przestał być reprezentantem tego systemu jedynie z konieczności.

Partię powinni kierować i wykonywać jej program rzeczywisti przedstawiciele mas partyjnych: robotników, chłopów, inteligencji, a nie zawodowi pseudo-działacze, którzy stare hasła automatycznie zmienili na nowe, będąc przedtem — w teorii i w praktyce — klasycznymi przedstawicielami systemu stalinowskiego. Demokracji i praworządności nie mogą wprowadzać wczorajsi reprezentanci i gorliwi realizatorzy stalinowskiej koncepcji socjalizmu.

Ludzie, którzy krytyce opinii publicznej nie mogą przeciwstawić nic więcej ponad słowa, powinni przestać działać w imieniu partii. Nie oznacza to, że należy postulować odejście wszystkich ludzi, znajdujących się obecnie we władzach partyjnych. Są wśród nich tacy, którzy szczerze, z radością powitali nowy rozdział w historii partii, pragną odrodzenia socjalizmu, rozwoju swoobód demokratycznych, są patriotami, ceniącymi jak skarb niezawisłość Polski. Propagując wyeliminowanie tych ludzi z życia politycznego wyrządzilibyśmy im krzywdę, a szkodę partii.

Zaufanie mas do partii odbudowane przez nowe Biuro Polityczne KC ugruntować mogą w Lubelszczyźnie tylko ci działacze, którzy czynami opowiedzieli się za demokracją, wolnością i prawdziwym postępem.

Partia w Lubelszczyźnie, nie tylko zresztą u nas, dotknięta była w silnym stopniu chorobą przekazywania instrukcji zastępujących myślenie, stworzyła dystans między hasłami a rzeczywistymi potrzebami społeczeństwa. Zatraciła w dużej mierze inicjatywę, ograniczając się w swej działalności głównie do tzw. akcji. Znaczna część działaczy partyjnych przekształ-

ciła się w urzędników, z kierowników życia politycznego — w administratorów.

Metoda, według której działał aparat partyjny — ten precyzyjny przecież mechanizm zamieniający w praktykę codzienną zasady programu partii — doprowadziła — wbrew pozorom — do izolacji partii od mas, do jej zbiurokratyzowania, przez to do zdevaluowania roli awangardy klasy robotniczej.

W dniach naszej rewolucji aparat partyjny w Lubelszczyźnie wykazał bierność, a w następnych — konserwaryzm.

A partia nie może być urzędem opartym na działalności administracyjnego aparatu. Działaczowi partyjnemu nie wolno upodobnić się do trybu maszyn — automatu, mającej instrukcje i okólniki. Praca partii to polityczna i ideologiczna — w istotnym znaczeniu tych słów — działalność zmierzająca do politycznego organizowania klasy robotniczej, inteligencji. Działacz partyjny to człowiek, który co dzień zdobywa rzeczywiste zaufanie mas partyjnych, pomaga im, a nie rządzi nimi i instruuje.

Trudno ustalić — biorąc pod uwagę wszystkie wyżej wymienione kryteria — wzór działacza, który będzie godnie reprezentował masy członków partii w przyszłych władzach partyjnych i cieszyć się zaufaniem społeczeństwa.

Wydaje się jednak, że warto jeszcze podkreślić konieczność wybrania do władz partyjnych ludzi, których cechuje głębokie przekonanie o konieczności odrzucenia dotychczasowych metod pracy aparatu i instancji partyjnych, ludzi, którzy stawiają na pierwszym planie swej działalności potrzeby społeczeństwa, jego pragnienia. Powinni być wybrani ci, którzy bez reszty potępiają stalinizm i jego antynarodową politykę oraz opowiadają się bez zastrzeżeń za programem całkowitego uniezależnienia Polski od obcej ingerencji, za pełną suwerennością naszego kraju. Ludzie, którzy potrafią konsekwentnie i odważnie realizować ten program.

Władza w partii musi przejść w ręce działaczy umiejących nadać nową treść i nowe formy pracy partyjnej, którzy nie rozmięną naszej rewolucji „na drobne“.

* * *

W konferencjach powiatowych i wojewódzkiej powinni uczestniczyć, oprócz delegatów, przedstawiciele robotników, inteligencji twórczej, naukowców, rewolucyjnej młodzieży, wybrani na zebraniach, w fabrykach, instytucjach i organizacjach.

Edmund Grzybowski

WSPÓLZAWODNICTWO ŻYWEGO SŁOWA

Rada okręgowa ZSP w Lublinie zorganizowała w collegium juridicum UMCS III turniej krasomówczy. Na turnieju wystąpiło pięciu mówców. Jury w składzie: prof. dr N. Lubnicki, mgr A. Aleksandrowicz, kierownik Wydziału Kultury PWRN, J. Groszman i kierownik literacki Państwowego Teatru im. J. Osterwy, M. Bechzyz - Rudnicka — przyznało I nagrodę Zygmuntovi Łupinie, studentowi III roku Historii UMCS, za przemówienie na temat „Jaką cechą charakteru człowieka cenię najwyżej”. W logice i przejrzystości zbudowanej mowie uzasadnił Z. Łupina zdanie, że najważniejsza z cech stanowiących o wartości człowieka jest aktywność skierowana ku dobru społeczeństwa. Mówca zilustrował swoje założenia ciekawie dobranymi przykładami. Bardzo trafna była m. in. charakterystyka kawiarnianych polityków, „którzy w momentach przełomowych ograniczają się do dyskusji przy małej czarnej, czytania prasy i słuchania radia. Ich postawa zdeterminowana jest stwierdzeniem: polityka to wstrętna rzecz, nie

brudźmy sobie ręk. Później wygodnie mogą afiszować się „czystymi rękami” — powiedział Z. Łupina, a zakończył swoje przemówienie słowami: „Chyba wiadomo, jakich potrzeba nam ludzi w okresie wielkiego przełomu, w epoce Renesansu XX wieku. Jest ich niestety mało, dlatego Polsce potrzebna jest Komisja Edukacji Narodowej”.

II nagrodę otrzymał Grzegorz Majdański, student II roku Prawa UMCS, którego przemówienie było pełnym zapału oskarżeniem szowinizmu. Nie przekonywała natomiast mowa Konrada Krywki, również studenta II roku Prawa UMCS. Mówca ferujący z dezynwolturną nieprzemyślaną wyroki, nie odpowiadał w gruncie rzeczy na pytanie: „dlaczego Lublin znajduje się na peryferiach życia kulturalnego Polski”.

Na ogólnopolskim konkursie krasomówczym środowisko studentów lubelskich reprezentować będzie Z. Łupina. (1)



Zygmunt Mańkowski

DZIEŃ DOBRY, PROWINCJO!

Od czasów podbojów starożytnego Rzymu słowo prowincja nabrało idealnie pejoratywnego charakteru. Stało się synonimem najgorszych pojęć czolobitności wobec metropolii, niskiego poziomu życia społecznego i kulturalnego, marazmu, a nawet — jak stwierdza słownik wyrazów obcych — „nieumiejętności zachowywania się” itp. Sytuacji nie zmieniły największe wynalazki umysłu ludzkiego, walczące uporczywie za przestrzenia: telegraf i telefon, radio i telewizja, samolot odrzutowy i statek atomowy.

Wielkie metropolie kulturalne są w zachłanny sposób monopolistyczne. Korzystając z wyjątkowych warunków i atmosfery, są nieustanną Mekką dla twórców i działaczy kulturalnych oraz wybitniejszych indywidualności. Ich odpyły to najtragiczniejsze zjawisko w dziejach każdej prowincji. Jakże łatwo wykażać to na przykładzie Lublina. Ucieczka wybitniejszych aktorów, pracowników nauki, artystów — malarzy, muzyków nieomal unicestwia dramatyczne wysiłki grupy „fantastów” prowincji, usiłujących nadać obliczu kulturalnemu miastu regionu cechy wielkomiejskie. Proces ten nie jest do przewyżnienia, choć jego osłabienie leży absolutnie w naszej kompetencji. Problem kadr to najważniejsze zagadnienie nowego ożywczego prądu, któremu nadano niezręczną, sztywną nazwę „decentralizacji”.

W jaki sposób zapobiec odpyłowowi najwybitniejszych twórczych jednostek do metropolii — w jaki sposób zapewnić stały dopływ nowych sił do naszego środowiska — oto najbardziej frapujące problemy obecnego etapu.

Wydaje mi się, że rozpatrując to zagadnienie należy przede wszystkim stwierdzić, że władze naszego województwa nigdy w należyтым stopniu nie przejawiały troski o materialne warunki bytu ludzi, od których zależy tętno życia kulturalnego. Dowodem tego są choćby upokarzające nas wszystkich protesty twórczych ośrodków kulturalnych przeciwko polityce mieszkaniowej i finansowej władz województwa (patrz protest aktora Iwińskiego w jednym z ostatnich numerów „Sztandaru Ludu”).

Gdzie zawodzi właściwa troska władz w stosunku do kultury i działaczy kulturalnych, tam nie ma mowy o odrodzeniu kulturalnym. Z tego muszą raz na zawsze zdać sobie sprawę władze naszego regionu. Zdawkowe i odświętne filokulturalne oświadczenia niektórych bardziej wpływowych osób lub odnaczenie co pewien czas kilku spośród działaczy niczego nie zmieniają.

Sprawa mieszkań, rent i premii to tylko jedna strona zagadnienia. Osobowość twórcy kulturalnego — to przede wszystkim jego dzieło: symfonia, powieść,

obraz, rozprawa naukowa, artykuł publicystyczny, doświadczenia, które utrwała w druku. Bez tego twórca nie jest sobą i może stać się zwykłym „zjadaczem chleba”. Jednak warunki istniejące w Lublinie nie pozwalają na to, aby mógł on osiągnąć pełnię swej osobowości, skoro nie może wydać tu, na miejscu, swych dzieł drukiem. Nie ludźmy się, że sprawę tę załatwiają wydawnictwa centralne. Są one wyjątkowo odporne na te zakusy. Twórczość regionalna jest dla nich zbyt mało frapującą i zbyt ryzykownym kąskiem, aby były gotowe go połknąć. W tej sytuacji należy bez wahania i zwłoki przystąpić do założenia agencji wydawniczej w Lublinie. Tego rodzaju instytucja spełnić by mogła podwójną rolę: po pierwsze — stworzy narzecze pewne warunki dla twórczej pracy ludzi pióra, po drugie — rozbudzi życie kulturalne regionu. Oto szereg propozycji wydawniczych, które mi się nasuwają w ciągu kilku minut: pieśni ludowe Lubelszczyzny, stroje ludowe w Lubelszczyźnie, Kazimierz w poezji, malarstwie i prozie, szkice z historii Lubelszczyzny, antologia nowel lubelskich, Lublin w latach przełomu w oczach pisarzy i działaczy (1944 r.), historia teatru lubelskiego, wybór widowisk z krajoobrazami Lubelszczyzny, szlaki turystyczne w Lubelszczyźnie, antologia reportaży itd., itd.

Koszty założenia takiego wydawnictwa są minimalne w porównaniu ze skandaliczną rozrzutnością, jaką operują finansami poświęconymi na „kulturę” najróżniejsze „piony” naszego życia kulturalnego. Potrzeba po prostu około 500 tys. zł kapitału zakładowego. Wydany ostatnio przez Wydział Propagandy KW PZPR tom materiałów sesji naukowej o przebiegu rewolucji 1905—7 roku w Lubelszczyźnie kosztował 40 tys. złotych. 5-tysięczny nakład w cenie 8 zł za egzemplarz zwróciłby włożony kapitał w ciągu najbliższych 3 miesięcy. Tymczasem bezowocne były wysiłki wydania bardzo cennej monografii o Zamojszczyźnie w okresie okupacji. Kto ma na to dać fundusze? Nie ma chyba wątpliwości, że utworzenie takiego wydawnictwa przerwie w dużej mierze marazm w dziedzinie twórczości, jaki panuje od lat w naszym regionie. Kto jednak podejmie trud wywalczenia ministerialnego „imprimatur” i odpowiednich finansów?

Druga sprawa, która leżeć powinna na sercu wyłódarkom naszego miasta, to problem życia uniwersyteckiego. Uniwersytety w Lublinie tworzą klasyczne getto

społeczne. Brak szacunku w stosunku do niektórych uniwersytetów ze strony pracowników KW PZPR i WRN budził nieraz zdumienie osób postronnych. Uniwersytety borykają się, podobnie jak i teatry, filharmonia, muzeum i inne ośrodki kulturalne z prymitywnymi brakami i zasięgami biurokratycznymi. Brak jest sal wykładowych, mieszkań, zainteresowania i uznania, serdeczności i nadziei. Z drugiej strony również i postawa zespołów pracowników naukowych tych uniwersytetów nasuwa wiele przykrych uwag krytycznych. W większości wypadków biorą oni bardzo nikły udział w życiu społecznym i kulturalnym miasta, bardzo rzadko pisują w prasie. Składa się na to wiele przyczyn. Są oni przeciążeni pracą i zgnębieni nikłymi wciąż zarobkami, mają trudne warunki pracy i zbyt mało zachęty do niej. Często działacze naszych władz pojmowali tę współpracę bardzo prymitywnie. Żądali rzeczy niemożliwych: zbyt częstych wyjazdów w teren, udziału w pracochłonnych komisjach o oddalonej od profilu uczelni tematyce itp. Zdaniem moim sprawę rozwiązać można w ten sposób: należy stworzyć w Lublinie takie warunki, w których pracownik naukowy mógłby swe umiejętności i wiedzę przekazać jak najszerszemu ogółowi społecznemu. Proponuję utworzyć w tym celu w Lublinie, na wzór byłych Wyższej Szkoły Nauk Społecznych TUR w Krakowie i Akademii Politycznych — Wieczorowy Uniwersytet, a raczej Wolną Wszechnicę z prawami uniwersyteckimi, z wydziałami społeczno-samorządowym i kulturalno-oświatowym. Uczelnia powyższa umożliwiłaby ukończenie studiów wyższych setkom ludzi, którzy mając wykształcenie średnie, nie mogą, ze względu na warunki materialne, ukończyć uniwersytetu w normalnym trybie. Wykłady na powyższym uniwersytecie odbywałyby się codziennie lub 5 razy tygodniowo w godzinach wieczornych. Byłem niegdyś słuchaczem wspomnianej wyżej WSNS i wiem dobrze, jakim dobrodziejstwem byłaby ona w Lublinie.

Dwa przedstawione przeze mnie projekty nie rozwiążą oczywiście wszystkich bolączek naszego życia kulturalnego, potrafią je chyba jednak poważnie zniwelować. Sądzę, że redakcja „Kamery” i innych czasopism nie oszczędzi miejsca na rzeczową dyskusję w tej sprawie.

Zygmunt Mańkowski



ROZMOWY O FILMIE

I

Wiele faktów świadczy o wciąż wzrastającej popularności sztuki filmowej, co jest niewątpliwie jakimś pośrednim dowodem właściwej oceny artystycznego i ideologicznego oddziaływania kinematografii. Jeżeli chodzi o popularność — kino rywalizuje skutecznie z teatrem, muzyką i literaturą, rywalizacja ta w niczym jednak nie zagraża autonomii i rozwojowi innych dziedzin sztuki. Obecna polityka kulturalna, stawiając sobie za cel stworzenie odpowiednich warunków dla harmonijnego wzrostu poszczególnych sztuk, wyznacza kinematografii specjalną rolę w krzewieniu i rozpowszechnianiu istniejących już i wytwarzanych obecnie dóbr kulturalnych. Po likwidacji plagi analfabetyzmu kino staje się rodzajem artystycznego „przedszkola”, w którym masowy odbiorca uczy się rozumieć i przeżywać sztukę, zapoznaje się z nią i przyswaja sobie jej istotne wartości.

Te pierwsze, nieporadne jeszcze częstokroć kroki, jakie stawia dziś nowy widz na obcym sobie terenie (kina wiejskie), zmuszają publicystów i krytyków do poświęcania trudnym sprawom kultury filmowej coraz więcej uwagi. Niestety, stwierdzić należy, że jak dotychczas publicystyka filmowa w większości wypadków nie stoi jednak na wysokości zadania. Przyczyny są różne. Kinematografia jest sztuką stosunkowo „młodą”. Znaczna więc część publikacji — to rozważania teoretyczno-krytyczne, zbyt specjalne i zbyt trudne, by wzbudzić mogły zainteresowanie przeciętnego odbiorcy. Nie lepiej przedstawia się sprawa z omówieniami i recenzjami wyświetlanych filmów. Pomijając już to, że sama krytyka błąka się nieraz po rozdrożach sprzecznych ocen i skrajnie różnych sądów, recenzje, które ukazują się w prasie, posiadają bardzo często charakter polemiczny, nie są więc przeznaczone bezpośrednio dla nieprzygotowanych czytelników.

Jedyna forma „poradnictwa” filmowego — programy sprzedawane w kasach kin, zamiast rzetelnie instruować widza, zawierają w większości wypadków niepotrzebne nikomu fotosy oraz bardzo niechętnie podaną treść filmu, która o niczym nie mówi i „myśl główną”, która niczego nie uczy. Przeciętny odbiorca zdany więc jest na własne siły. Radzi sobie oczywiście jak może. A że niewiele może, niewiele więc korzysta. Ograniczony do wąskiego kręgu najbardziej elementarnych przeżyć estetycznych, stanowi podatny materiał na typowego „pożeracza” filmów, w dalszej zaś konsekwencji staje się wdzięcznym odbiorcą makulatury literackiej, poszukującym w każdej sztuce silnych wrażeń i taniej sensacji. W ostatecznym rezultacie jeszcze jeden stracony odbiorca kultury.

Sprawa nie jest błaża. Impenujący wzrost sztuki filmowej i nadzwyczajna łatwość docierania filmu do najszerszego kręgu widzów, o różnym poziomie i różnym przygotowaniu, zmusza do jakiejś intensywnej akcji wyjaśniająco-popularyzatorskiej. Brak takiej akcji stworzyć może całkiem realnie niebezpieczeństwo szkodliwej dysproporcji między coraz bardziej podnoszącą się jakością produkowanych filmów a przygotowaniem przeciętnego odbiorcy.

Niebezpieczeństwo to sygnalizujemy przede wszystkim Towarzystwu Wiedzy Powszechnej, które posiada obecnie największe możliwości podjęcia szeroko zakrojonej działalności mającej na celu wychowanie nowego odbiorcy filmowego.

Można by zapytać, co robi prasa fachowa. Prasa fachowa robi oczywiście co może. „Przegląd Kulturalny” przeznaczony jest jednak dla czytelników o pewnym przygotowaniu teoretycznym. Jedynie popularne czasopismo filmowe — „Film” częściowo tylko spełnia te zadania. Konieczne wydaje się także zainteresowanie sprawami kultury filmowej redakcji czasopism codziennych. Tylko bowiem planowa, uzgodniona i powszechna akcja przynieść może pozytywne rezultaty i wciągnąć masowego odbiorcę w krąg zainteresowań estetycznych.

Zdarza się niekiedy, że film pełni całkiem specjalne funkcje — informacji: przegląd aktualności, kronika tygodniowa, reportaży filmowy; pomocy naukowej: filmy naukowe, oświatowe itd. W tych wypadkach oczywiście jakaś oddzielna akcja wyjaśniająca lub popularyzatorska jest zbędna. Z filmami tego rodzaju wiąże się organicznie wtopiony w kontekst lub dedany do filmu komentarz objaśniający czy instruujący.

Znaczenie takich filmów i ich wartość kryje się przede wszystkim w ich funkcji poznawczej (filmy przyrodnicze, geograficzne, filmy o najnowszych metodach produkcji, o poszczególnych dyscyplinach sportu etc.). Wszystkie wymienione tu filmy tworzą odrębną grupę. Stanowią one specjalny dział kinematografii, którą można nazwać przez analogię do innych dziedzin sztuki — kinematografią stosowaną.

Nas przede wszystkim interesują jednak filmy operujące się na fikcji artystycznej, których celem jest oddziaływanie na odbiorcę za pomocą artystycznych środków wyrazu. Są to tzw. popularne filmy fabularne, a więc filmy historyczne, biograficzne, muzyczne, sensacyjne, komediowe oraz filmy rysunkowe, kukielkowe, baśnie filmowe itd.

Jak podchodzić do takich filmów, na co zwracać uwagę i jak je oceniać — oto zagadnienia, które czekają wciąż na opracowanie przez krytykę i publicystykę filmową, zagadnienia, które wejść powinny na łamy naszej prasy codziennej, na afisze prelekcji i odczytów, na karty broszur i publikacji popularnych. Stać się to powinno jak najszybciej.

II

Do niedawna panowało błędne przekonanie, że kinematografia nie jest sztuką. Pożyteczne może byłoby zanalizowanie tu przesłanek, które wpłynęły na ugruntowanie się tego rodzaju opinii.

Wydaje się, że można by wskazać — i to z dość dużym prawdopodobieństwem — jej podłoża społeczne. Kinematografia, bowiem, podobnie zresztą jak w literaturze powieści, jest wytworem kultury mieszczańskiej. (Na marginesie należy zaznaczyć, że zarówno powieść, jak i film spotykały się nieraz z zarzutami, iż nie są „czystymi” dziełami sztuki).

W obu wymienionych wypadkach przyczyny ataków były oczywiście inne. Początki współczesnej powieści przypadają na okres wzmoczonej walki mieszczaństwa z ustrojem feudalnym. Powieść dała się poznać wówczas jako dogodne narzędzie ideowego starcia klasowego, a następnie, jako narzędzie propagowania idei zwycięskiego mieszczaństwa. Z czasem oczywiście zbyt ściśle związanie powieści z życiem (powieść — „zwierciadłem” życia) stało się dla mieszczaństwa kłopotliwe i niebezpieczne, szczególnie, gdy wciąż rosły nowe kadry pisarzy proletariackich demaskujących ówczesną rzeczywistość.

Film powstał natomiast w okresie najwyższego rozkwitu i najwyższej potęgi zachodniej burżuazji.

Bohaterski, postępowy charakter mieszczaństwa należał już do bezpowrotnej przeszłości. Burżuazja nie walczy, lecz panuje. Upojonomu potęgą mieszczaństwu nie potrzebne już były ideologiczne „szczudła”. Zdecydowało to o charakterze i kierunku rozwoju kinematografii zachodniej. Kultura służy jedynie do uprzyjemnienia życia. Film staje się od razu niewybredną, dochodową rozrywką a jednocześnie poważną imprezą handlową. Pojedyncze próby podniesienia kinematografii do poziomu sztuki gina bez śladu w powodzi jarmarcznych sensacji i różnych filmowych bzdur „salonowych” z życia „wyższych” sfer. O poziomie filmów zaczynają decydować przede wszystkim względy kasowe.

Taki stan rzeczy nie pozostał niestety bez wpływu na krytyczną ocenę kinematografii przez opinię szerokich rzesz kinowej publiczności. Zaczęło się ustalać błędne, krzywdzące dla sztuki filmowej przekonanie, że wartość filmów niewiele się właściwie różni od wartości magicznych produkcji odpustowych kuglarzy.

Jest to pierwsza a zarazem jedna z najważniejszych przyczyn szkodliwego uprzedzenia do sztuki filmowej. Ma ona charakter społeczny i jest zupełnie, niestety, niezależna od chęci i woli twórców, krytyków i teoretyków filmowych.

Są także i inne przyczyny uprzedzenia, związane ściśle z cechami, które wyróżniają kinematografię od innych sztuk. Na wstępie powiedzieliśmy, że kinematografia powstała stosunkowo późno, bo dopiero przy końcu XIX w. Siłą rzeczy musiały więc na nią oddziaływać „starsze”, bardziej rozwinięte sztuki. — Istotnie film czerpał (i czerpie) obficie, często bardzo bezkrytycznie z tegoż, wielowiekowego dorobku literatury, muzyki, teatru, malarstwa, rzeźby, grafiki, tańca itd., przyswajając sobie częstokroć ich nienajlepsze osiągnięcia. Im ściślej były owe powiązania, tym trudniejsza stawała się oczywiście walka o własne oblicze rodzajowe filmu, o wypracowanie własnych cech, które by wyróżniały kinematografię od innych, pokrewnych sztuk, a więc walka o tzw. specyfikę filmową.

Stan taki zrodził wśród pewnych kół bardziej wyrotionej estetycznie publiczności mylne przesądzenie o niewolniczym uzależnieniu kinematografii od innych sztuk. Przesądzenie to przyczyniło się z kolei do powstania błędnej opinii, że film jest sztucznym zlepkiem wielu różnorodnych elementów, nieudolnym naśladownictwem teatru, koncertu czy baletu, a jednocześnie ich groźnym konkurentem. Jest to drugie, bardzo ważne źródło uprzedzenia do sztuki filmowej.

Trzecia wreszcie przyczyną nieufności do kinematografii, jaka panuje jeszcze w niektórych kołach inteligencji (szczególnie w kołach inteligencji twórczej), jest sprawa tzw. „warsztatu” twórczości, sprawa „kuchni”, w której kształtują się dzieła sztuki.

Każdy, kto pracuje, posiada swój warsztat pracy.

Choć artyści należą również do świata pracy, sprawa ta wygląda u nich nieco inaczej. Szewc, stolarz, hutnik, stykając się z określonym, konkretnym materiałem przekształcają surowiec w przedmiot użytkowy lub materiał, który można obrabiać.

Dla artysty materiałem natomiast jest cały świat, życie, otaczająca go rzeczywistość, on sam oraz inni ludzie. Ow „surowiec” życia artysta przekształca w dzieło sztuki: obraz, rzeźbę, utwór muzyczny, wiersz lub powieść. Utwór literacki lub utwór muzyczny musi być jednak zapisany, obraz namalowany, rzeźba odlana, ulepiąca lub wykuta. Przekształcenie więc odbywa się przy pomocy jakiegoś innego materiału. Konieczność utrwalania dzieł sztuki w jakimś konkretnym materiale wymaga znajomości tego materiału oraz umiejętności posługiwania się nim. Każda więc sztuka zależna jest w mniejszym lub większym stopniu od pierwiastka technicznego.

Tam, gdzie pierwiastek techniczny przeważa, sztuka przekształca się w „rzemiosło”. Dziś np. trudno się nam oswoić z faktem, że architekt jest także artystą.

Oprócz pierwiastka technicznego, w każdej sztuce poza tym występują zawsze dwa momenty. Momenty te są związane jak najściślej z każdym procesem twórczym, tak, że bez nich nie możemy wyobrazić sobie twórczości artystycznej. Jednym jest akt twórczy — pierwszy rzut, powstanie myśli, koncepcji, pomysłu, planu, niekiedy całego utworu (wiersz). Drugim czynnikiem jest osobowość twórcza, która dokonuje tego aktu i która kształtuje dzieło. W procesie twórczym osobowość jest czynnikiem jakby nadrzędnym, jednoczącym poszczególne etapy owego procesu w jednolitą i harmonijną całość. Osobowość wybija niezatarte piętno na każdym dziele sztuki, im silniejsza jest bowiem osobowość twórcy, tym wybitniejsze i bardziej wartościowe również jest samo dzieło.

Jeżeli przyjrzymy się teraz sztuce filmowej, to zobaczymy trzy charakterystyczne zjawiska, które oddalają tak bardzo kinematografię od innych sztuk, że powstaje wątpliwość, czy jest ona istotnie dziedzina twórczości artystycznej. Pierwszym z nich jest olbrzymia przewaga pierwiastka technicznego, która sprawia, że o kinematografii nie mówimy jak o sztuce, lecz jak o odrębnej gałęzi przemysłu; mówimy przecież o produkcji, o montażu itd. Nie ma także w filmie osobowości twórczej. Kto inny pisze nowelę, kto inny opracowuje z tej noweli scenariusz, jeszcze inny reżyseruje, dokonuje zdjęć, gra, czywa nad całością produkcji itd. Siłą rzeczy nie może być również mowy o jakimś wyraźnym, jednorazowym akcie twórczym.

Wszystkie te czynniki sprawiają, że kinematografia rozstrzywana od strony procesu twórczego, w rezultacie nie jest uważana za pełnowartościową, autonomiczną sztukę. Strona techniczna procesu twórczego przesłania w tym wypadku jej istotne, nieprzemijające wartości.

III

To, że istnieją zle filmy, nie świadczy, że kinematografia nie jest sztuką, tak, jak istnienie złych i demoralizujących książek nie świadczy wcale o szkodliwości literatury.

Był jednak — jak to już wspominaliśmy poprzednio — długi okres, kiedy kinematografia schlebując niskim gustom drobnomieszczaństwa produkowała tanie głupstwa i niezdrów, sensacyjne szmiry. W tym mniej więcej czasie (r. 1924) ukazała się w Polsce pierwsza książka o kinematografii „X Muza” Karola Irzykowskiego, która dokładnie omawiała artystyczne wartości sztuki filmowej. Książka ta jednak minęła bez echa. Doriero w r. 1925, a następnie w r. 1928 poważny wstrząs wśród krytyków i teoretyków filmowych wywołały dwa filmy radzieckie: „Burza nad Azją” i „Pancernik Potiomkin”. Filmy te odsłoniły bowiem nowe, olbrzymie możliwości estetycznego oddziaływania sztuki filmowej i wskazywały filmowcom całego świata nowe rozwiązania w dziedzinie techniki i ideologii. Następnym przełomem było wprowadzenie do sztuki filmowej dźwięku. Przed drugą wojną światową powstał film barwny. Po wojnie otwarto w Związku Radzieckim pierwsze kino dla filmów trójwymiarowych.

O czym świadczą te wszystkie fakty? Świadczą one niewątpliwie o jednym. Kinematografia, jak każda prawdziwa sztuka, która wyrasta z życia i tkwi w życiu, pragnie stworzyć dla odbiorców jak największe złudzenie, jak największą iluzję rzeczywistości. W świecie rzeczywistym bowiem nie tylko widzimy ruch, lecz także słyszymy dźwięki, rozróżniamy barwy, oceniamy odległość i sposób kształtu. W ostatnich czasach widzimy często na filmach ludzi jak zwykle, jakich widzimy w codziennym życiu. Powoli z twarzy bohaterów filmowych znika szminka.

Mezczyźni na filmach są często nieogoleni, brudni, nieczeszani, chodzą w nieprasowanych ubraniach, kobiety nie mają, jak dawniej, sztucznych brwi, sztucznych rzęs i wymyślnych fryzur. Coraz częściej pojawiają się na ekranie filmowym nie zawodowi aktorzy, lecz zwyczajni ludzie: chłopci, robotnicy inżynierowie, wojskowi (film „Gromada”, „Pierwsze dni” itd.), którzy występują przed obiektywem aparatu filmowego po raz pierwszy i grają sami siebie.

Może ktoś jednak zapytać, po co to wszystko się robi, przecież i tak każdy widz wie, że na filmie dzieje się wszystko na niby?

— Do kina chodzi się przecież po to, by zobaczyć coś nowego, jakiś nowy świat, innych ludzi, do kina chodzi się po to, ażeby choć przez dwie godziny „oderwać” się od zwykłego, codziennego życia. Wydaje się jednak, że takie stanowisko jest błędne i to błędne z kilku powodów.

Każda sztuka nie tylko sprawia nam przyjemność i dostarcza rozrywki, lecz przede wszystkim uczy nas życia. Ażeby spełniać skutecznie to zadanie, sztuka (a więc i film) musi przede wszystkim wyrażać się jak najprostszymi środkami, zrozumiałymi dla wszystkich, a następnie musi jak najsilniej oddziaływać na odbiorcę. Film, literatura i dramat (przedstawienie teatralne) czynią więc wszystko, by odbiorca mógł bez żadnych zastrzeżeń przyjąć tę prawdę, którą pragnie podać mu twórca. Prawda ta powinna jednak być tak podana, by odbiorca uwierzył w nią tak, jak wierzy tym wszystkim faktom, które zachodzą w jego życiu realnym. Do tego celu wiedzie tylko jedna droga. Dzieło wytworzyć musi jak największą iluzję, jak największe złudzenie rzeczywisto-

ści realnej. Dzieło narzucić więc musi odbiorcy: czytelnikowi, widzowi czy słuchaczowi przeświadczenie, sugestie, że to, co on czyta, co widzi czy słyszy, dzieje się na prawdę.

Film w takim wypadku musi oddać jak najwierniej te wszystkie wrażenia, jakie widz odbiera w życiu. I dlatego kinematografia przyswoiła sobie dźwięk, barwę oraz widzenie trójwymiarowe i dlatego pokazuje ona życie takie, jakie jest w rzeczywistości. Zdarza się jednak, że sztuka filmowa nie może z pewnych względów zasugerować nam prawdy życiowej. Kinematografia szuka wówczas innych rozwiązań. Niekiedy ucieka się nawet do symboli i fantastyki. Młoda, postępową kinematografia włoska, która stworzyła w kinematografii zachodniej nową „szkołę” realistyczną, a która z powodu prześladowań politycznych zrezygnować musiała z peł ego realizmu, zaczęła w swych filmach przemycać pod maską fantastyki postępowe treści społeczne. Takie filmy jak „Cud w Mediolanie” czy „Nie ma pokoju pod oliwkami” świadczą, że w filmach włoskich odnawia się dawno zarzucona przez literaturę („Ptaki” — Arystofanesa, „Podróże Guliwera” — Swifta) społeczna funkcja fantastyki, funkcja tzw. „maski”. I w jednym i w drugim jednak wypadku odbiorca przyjmuje prawdę, którą pragnął podać mu twórca.

Jest to zresztą jedynie słuszny sposób podchodzenia do sztuki. Szukanie w sztuce ucieczki czy zapomnienia sprowadza sztukę do poziomu popołudni, gry w karty lub czegoś bardziej niewybrednego.

Pamiętajmy o tym wchodząc do budynku kina.

Zbigniew Jakubik

WIECZÓR AUTORSKI MARII SZCZEPOWSKIEJ

11 października br. odbył się w Klubie Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych wieczór autorski Marii Szczepowskiej. Publiczność tym razem dopisała.

Autorka (nieznana niestety szerszemu ogółowi społeczeństwa lubelskiego, jak kilku znanych naszych zdolnych kolegów) odczytała reportaży i dwa opowiadania.

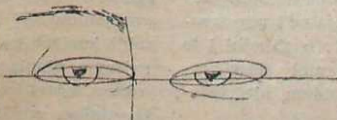
Zarówno tematyka, jak artystyczny kształt obu opowiadań zaskoczył nie tylko przypadkowych słuchaczy, lecz również kolegów autorki z lubelskiego Oddziału. Tematyka radzieckich „łagrów”, tragedia dziesiątków tysięcy Polaków wywiezionych w czasie ubiegłej wojny w głąb Rosji, była w minionym okresie literackim „tabu”, na którego strażą stał cerber bardziej groźny niż nieszkodliwa w gruncie rzeczy cenzura.

„Wielki Bimbajło” i „List” — ujęte w formę doskonale, zaskakująco, powiedzianym, dopasowaną do treści, którą pragną czytelnikowi przekazać — świadczą o niewątpliwym, rasowym, autentycznym talen-

cie uparcie milczącej dotychczas autorki, o jej wielkich w dziedzinie literatury możliwościach, tak karygodnie zaprzepaszczanych (brak warunków do stworzenia warsztatu twórczego). Jest to zagadnienie typowe dla literatów prowincjonalnych i musi znaleźć jak najszybsze rozwiązanie.

Jeżeli chodzi o dyskusję — toczyła się ona dwoma nurtami. Nurt pierwszy — spontaniczny wyraz uczuć i wrażeń słuchaczy, wyraźnie dominował nad zastrzeżeniami natury artystycznej oraz zastrzeżeniami dotyczącymi ogólnego wydzźwięku obu utworów. W dalszym ciągu podtrzymują tęzę swojej wypowiedzi, że klimat opowiadań jest zbyt przygnębiający, ich kompozycja zaś sugeruje obiektywizm nie do przyjęcia dla normalnie uwróżliwionego słuchacza. Dowodzić to może albo doskonałego opanowania pisarskiego rzemiosła, albo postawy światopoglądowej autorki. Która z tych tez była słuszna — pokaże (jeżeli pokaże) przyszłość.

zjk



KARIERA DZIENNIKARZA

Zaczął się od nasiadówki czyli codziennej odprawy. Po rozdzieleniu zadań Naczelny spytał mnie: — A wy jaką wiadomość dacie na jutro? — Wszyscy uśmiechnęli się złośliwie. Myśleli, że nie-dziennikarz pisujący wstępniaki i to takie wstępniaki, które drukują, to kompletny idiota. Ho, ho, co do mnie to pomylili się bardzo. — Jaką wiadomość? — odpaliłem z miejsca — Dam coś pod fascynującym tytułem: Kto winien? To będzie o gablotach. Że nieaktualne, że niechłujne, że popstrzone przez muchy. Wskażę winnych i środki naprawy. — Zatkalo ich. Taki pomysł, od razu pierwszego dnia. Widać, że się orientuję.

Rzeczywiście dałem notatkę. Naczelny po przeczytaniu aż podskoczył na krześle. — O to, to — powiedział. — Ludzi, ludzi, przede wszystkim pokazywać ludzi. Karać złych, nagradzać dobrych. I problem. Ostro stawiać problem. Trafić do mas. Towarzyszu, wysoko zajdziecie.

Nazajutr napisałem o gazetkach ściennych (że nieaktualne, że niechłujne, że popstrzone przez muchy). Był to swego rodzaju majstersztyk. Wyostrzyłem problem, pokazałem ludzi. W dwudziestu wierszach zmieściłem trzydzieści nazwisk, słowa, które nie były nazwiskami, pechniały od pasji, a tytuł strzelał jak raca. Cacko! Dalej poszło gładko. Codziennie było coś o transparentach, niepłaconych składkach itp. Same problemy. — Główna myśl — trafić do mas.

Wreszcie trafiłem: wybuchła awantura. Interweniowano osobiście, telefonicznie, napływały listy. A wszystko poszło stąd, że wśród tysięcy nazwisk, które wymyśliłem, trafiło się jedno — autentyczne. Gdyby nie to, byłbym do dziś błyskotliwym felietonistą satyrycznej rubryki, „Piórkiem w plot”. Ale, niestety, nie sądzony mi lekki chleb. Mieszam fantazję z rzeczywistością i to w sposób szokujący.

Awantura była jak cholera. Utworzono Komisję do Zbadania Nieścistości Popełnionych Przez Mnie. Przewodniczącym został Autentyczny Dyrektor, którego nazwisko, jak Boga kocham, najzupełniej omyłkowo umieściłem wśród tysięcy innych — wymyślonych. Przypadek. Ściąłem się z nim kiedyś i gdy pisałem o nieopłaconych składkach, jego nazwisko samo mi się napisało. A on rzeczywiście nie opłacił żadnej składki ze stu dwudziestu organizacji, w których piastował wysokie stanowiska. Trafiłem na ślepo. Wszystko inne można mi było udowodnić i udowodniono mi, że w naszym mieście nie ma tych ulic, o których pisałem, że nie ma na nich żadnych gablot, że takie a takie zakłady pracy nie istnieją, że nie pracują w nich tacy a tacy ludzie. Ale były przecież nieaktualne i popstrzone przez muchy gabloty, były nieopłacone składki i to w organizacjach, które nic innego nie miały do roboty prócz zbierania składek. Był więc problem, ale... Fiedot da nie tot, jak mówią Rosjanie.

— On chce widzieć problemy w oderwaniu od człowieka! — ryknął Autentyczny Dyrektor i wskazał na

mnie palcem. Rozumiem, że mógł się wściec. Teraz musiał zapłacić wszystkie zaległe składki. A inni zaczęli mnie obrzucać obelżywymi słowami: formalista, mały realista, abstrakcjonista, autentysta, surrealista, pozytywista, escapist, ferdydurkista, werysta, kubista, naturalista, futurysta. Wróg Nr 1.

Wylano mnie z redakcji.

Nie było z czego żyć, napisałem więc dramat. Historyczny, żeby się ideologicznie nie czepiali. Dramat był ponury, a więc wysłałem go do pewnego satyrycznego pisma. Po roku otrzymałem odpowiedź. Redakcja pekała ze śmiechu, ale miała pewne zastrzeżenia. Głównie co do ujęcia tematu. Dlaczego właśnie groteska? Czy nie lepszy byłby dramat?

Ja miałem zastrzeżenia co do ich zastrzeżeń. Wyrazilem je na piśmie. Między mną a Redakcją wywiązała się korespondencja. Grzeczna w tonie, ale ogromnie zasadnicza. Od słowa do słowa i problemy narastały jeden po drugim. Sklasyfikowaliśmy cały wachlarz będących wówczas w użyciu tematów. Zapędziliśmy się aż na peryferia sztuki. Określiłmy rzecz tak trudną do określenia jak realizm teatru kukielkowego. Były to naprawdę precyzyjne definicje. Redakcja posuwała się do daleko idących wniosków.

— Nie róbcie lalkom zbyt wielkich głów! — grzmiał w jednym liście Naczelny — (zawsze miałem do czynienia z samymi Naczelnymi) — To nie realistyczne.

Rzeczywiście normalny człowiek ma zupełnie niewielką głowę, a taka lalka czy ma być lepsza od człowieka? Zresztą nasze czasy to nie były czasy głów wyolbrzymionych.

Po roku przejrzałem korespondencję. Okazało się, że można z niej wykroić niezgorszy tomik krytyk. Wykroiłem. Nie tylko wykroiłem, ale i wydałem. Ha, wydawano wówczas wszystko i zaraz potem zjeżdżano wszystko. I mnie także zjechano. Zjechano tak precyzyjnie, że wiedziałem, iż się nie pozbięram.

Ale czasy się zmieniły i oto na progu nowej ery stałem jako zjechany krytyk schematysta. JA — którego, swego czasu (ni w pięć ni w dziewięć wprawdzie), ale lżono od futurystów, werystów, nadrealistów, naturalistów itp. Wszystkie problemy stawały do góry nogami — mój stanął również. Do dziś nie wiem, jak się to stało, bo jak może stanąć na głowie to, co nigdy dość pewnie nie stało na nogach? Fakt, że stanęło. Musiałem zacząć od początku. Od podstaw.

Lekko to się mówi: od podstaw, ale jak zacząć od podstaw, kiedy podstaw tych brak? Rzuciłem się w wir problemów. W prasie szumiało jak w głowie. Ktoś robił karierę na gwizdaniu, ktoś inny na przypłodzie zajęcy w planie pięcioletnim. Każdy coś zwalczał: kacykostwo, świetlice, stonkę, kukurydzę, Lysenkę. A jak ja miałem zrobić karierę, kiedy nie nie zwalczałem? Koniecznie trzeba było coś zwalczać. Wyteżyłem wzrok. wyostrzyłem słuch i dostrzegłem gabloty. Były tak sa-

mo nieaktualne, niechlujne i popstrzone przez muchy jak kilka lat temu, kiedy zaczynałem karierę dziennikarza. Cóż, czasy tak bardzo się zmieniły, że nie widać się nawet, ile rzeczy pozostało bez zmian. Tak więc, na pozór błahy, istniał dalej problem gablot — idealna trampolina dla skoku w nurty głębokiej krytyki. Wyciągnąłem felieton sprzed kilku lat. Odświeżyłem go. Zastosowałem nową taktykę. Zamiast fikcyjnych

nazwisk podałem autentyczne. Nie oszczędziłem nikogo, każdemu wytknąłem, co należy. Wydrukowali.

Fajerwerk, panowie, olśnienie. Już nazajutrz zaczęły napływać sprostowania, korespondencje, listy. Już nazajutrz spotwarzono mnie, obrzucono obelgami i wyzwiskami. Zwycięstwo! Czasy naprawdę się zmieniły. Tak właśnie wygląda prawdziwa kariera.

Maria Szczepowska

Wojciech Bieńko

ŚLUB Z ELEKTROMAGNETYCZNYM POLEM

rozmienia się słońce
na grosze
czerwone żółte niebieskie
i fioletowe

na do re mi fa sol
la si do
rozmienia się także
beethoven

pryska
w zwykłe metafory
saint-pol-roux

w rymu zwory
jean cocteau

życie łatwo się rozłazi
na sekundy
na momenty

twoje oczy
na diamenty
diament węgiel
na atomy
atom zaś na elektrony

neutrony

pozytony

i protony

twoje piersi
to drgające jest
elektromagne
tyczne pole
usta są fałdą
czasoprzestrzeni

to już wolę
nie wiem tylko
jak to z polem
będzie można
się ożenić

Wojciech Bieńko

Irena Iskrzycka

Z MUZEUM LUBELSKIEGO

Rok bieżący obfituje w wystawy. Muzeum Lubelskie zorganizowało do końca października br. 13 ekspozycji oraz użyczyło własnego lokalu na 4 wystawy urządzone przez inne instytucje kulturalne. Cyfra 13 wystaw muzealnych, stanowiąca największą liczbę pokazów w ciągu jednego roku na przestrzeni dotychczasowej działalności Muzeum, obejmuje — 4 pokazy oparte wyłącznie na własnych zbiorach Muzeum, 5 zestawów artystycznych z zagranicy oraz 4 wystawki popularno-oświatowe dla szkół i zakładów pracy. Z grupy pierwszej zasługiwała na uwagę szczególnie wystawa garnce ludowego, dająca ciekawy przegląd przeglad wytworów ceramicznych ze wszystkich ośrodków Lubelszczyzny. Zestawy zagraniczne zapoznały społeczeństwo z reprodukcją artystyczną NRD, wycinanką

chińską, malarstwem francuskim XIX i XX w., plakatami węgierskim oraz rysunkami Leonarda da Vinci.

Duża liczba wystaw oraz ich różnorodność przyczyniły się do zwiększenia frekwencji, która do końca ubiegłego miesiąca wynosiła 125.253 osoby.

Niezależnie od działalności naukowej i oświatowej związanej ściśle z organizowanymi wystawami Muzeum prowadziło w dalszym ciągu badania terenowe z zakresu etnografii i archeologii. Celem tych badań jest między innymi pełna inwentaryzacja z zakresu kultury ludowej oraz uzyskanie eksponatów dla obu działów. W wyniku badań etnograficznych uzyskano pełny materiał naukowy związany z lubelską ceramiką ludową. W przyszłym roku pracownicy działu etnografii przygotują do druku obszerną monografię doty-

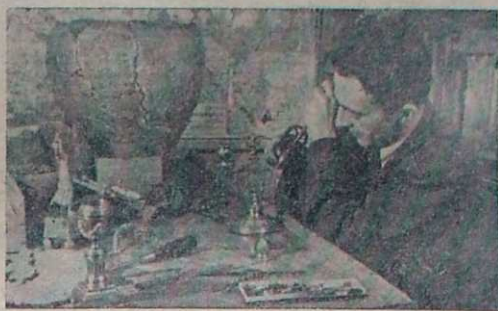
czącą tego zagadnienia. W ostatnich dwu miesiącach prowadzone były badania nad rzeźbą ludową naszego terenu.

Wykopaliska, które co roku wchodzi w zakres pracy naukowej działu archeologii, przyniosły w bieżącym

Pragnąc bliżej zapoznać społeczeństwo Lublina z zagadnieniami muzealnymi, Muzeum Lubelskie zorganizowało szereg imprez z okazji Międzynarodowego Tygodnia Muzealnego, obchodzonego po raz pierwszy w naszym kraju.



Konserwacja zabytków archeologicznych



Konserwacja metali



Montaż wystawy

roku ciekawy materiał zabytkowy z pierwszego okresu epoki brązu. Znaleźiska te pozwoliły ustalić chronologię niektórych kultur archeologicznych, co jest odkryciem na skalę krajową. Badania prowadzone były w miejscowości Raciborowice w powiecie hrubieszowskim.

Oprócz wystawki obrazującej działalność Muzeum i licznych gablot z materiałem ilustracyjnym zorganizowano we własnym gmachu 3 pokazy, w których wzięli udział wybitni lubelscy artyści ludowi. Pierwszy pokaz dotyczył techniki tkania na warsztacie tkackim, następny robienia wycinanek, a trzeci toczenia naczyń na kole garncarskim. Ze względu na duże zainteresowanie publiczności pokazami Muzeum będzie je co pewien czas powtarzać. Obchody Tygodnia objęły również kilka prelekcji z zakresu problematyki muzealnej, które nie miały wiaściwej frekwencji. Fakt ten jest o tyle niepokojący, że zainteresowanie pracą Muzeum sprowadza się niesety tylko do organizowania wystaw, natomiast sprawy wewnętrznej działalności Muzeum, jego roli i zadań w bieżącej chwili pozostają nadal w kręgu zainteresowań niewielkiej grupy ludzi.

W październiku br. Muzeum zakończyło swoją wieloletnią działalność w gmachu przy ul. Narutowicza 4. Nowy etap pracy rozpocznie się już w nowym lokalu, w specjalnie na cele Muzeum adaptowanej części Zamku Lubelskiego.

Irena Iskrzycka

„ORFEUSZ“ W TEATRZE AKADEMICKIM

Wybór „Orfeusza“ Anny Świrszczyńskiej do repertuaru Teatru Akademickiego KUL nie był przypadkowy. Wiązał się on jak najściślej z ogólną koncepcją tego teatru, który zdając sobie sprawę ze swych bardzo ograniczonych możliwości, od początku istnienia nie chciał zrezygnować z dania widzowi silnego przeżycia artystycznego. Z tego względu, gdy już wszechwładnie panował na wszystkich naszych scenach tzw. realizm (dobrze pamiętamy co to oznaczało), Teatr Akademicki KUL postanowił pójść zupełnie inną drogą, tj. repertuar swój oprócz przede wszystkim na inscenizacji dramatu poetyckiego o dość ściśle określonym kręgu problematyki. Ograniczenie to, jak mogli stwierdzić uczestnicy przedstawienia „Orfeusza“ danego w Klubie PKiST, przyczyniło się do pełnego sukcesu tego spektaklu.

Tajemnica sukcesu leży przede wszystkim w tekście utworu oddziaływającego na widza nie „ciekawie po-

myślaną i przeprowadzoną akcją“ czy „plastyką i prawdziwością charakterów“ lub „śmiałością krytyki środowiska“, ale i poezją mitu, ważkością podjętej problematyki i pięknem słowa, które samo inspiruje wyobraźnię widza jak i czytelnika.

Skrzywdziłoby się jednak zespół przypisując powodzenie przedstawienia tylko walorom sztuki. Zespół bowiem, jak na swoje możliwości, grał świetnie.

Najwięcej trudu w przygotowaniu i realizacji scenicznej dramatu poniósł Zbigniew Stawecki, który reżyserował sztukę, przygotował kostiumy i dekoracje oraz sam występował w roli Orfeusza. Oprócz słów uznania za doskonałą grę i solidność reżyserii — należy mu się również pochwała za oprawę sceniczną, za pomysłowość, skrótowość i symbolikę dekoracji, która w dużej mierze stanowiła o niecodzienności widowiska.

Spśród zespołu, oprócz Staweckiego, na wyróżnienie zasługuje Elżbieta Wojciechowska. Jej Eurydyka by-

ła pełna wdzięku i subtelnej melancholii. Bardzo dobrze wypadła rola oberżysty w wykonaniu Ryszarda Piotrowskiego. Wśród Menad najlepsza była Romana Swiderska (Aglae). Zresztą cały zespół, co się rzadko spotyka u amatorów, grał równo i z dużym wyczuciem.

Należy więc chyba tylko życzyć zespołowi i poszczególnym jego członkom dalszych sukcesów. Sądzę, że za parę lat będziemy mieli możliwość niektórych z nich oglądać i okłaskiwać na deskach państwowych teatrów.

Józef Wiesław Zięba

Wojciech Górny

„LATARNIA“ ŚWIĘCI JUBILEUSZ

Przy spółdzielni „Permedia“ w Lublinie działa teatr „Latarnia“. A zatem zespół przyzakładowy, prowadzony przez instruktora k.o.? Niezupełnie, z klasyfikacją nie tak łatwo. Organizator i reżyser teatru, Barbara Koterwas, nie jest instruktorem, lecz pracuje w „Permedii“ jako robotnica, od pewnego czasu członek komisji kulturalno-oświatowej. Przerleciadam prowadzoną przez nią księgę pamiątkową. Dużą część tej księgi stanowią uwagi wpisywane przez widzów „Latarni“ — widzów z hoteli robotniczych i ze wsi, które „nigdy czegoś podobnego nie widziały“. Zespół tytułowany jest przeróżnie: „Szalone Państwo“, „zespół PKS“ (wyjaśnienia później), „zespół łączności miasta ze wsią“, „teatr brygady agitacyjnej K.O.“ (niedaleko wpis: „Jesteśmy wam wdzięczni za to, że nie kadziliście nam zbyt wiele polityka, bo tej mamy zawsze dość“). Ktoś wreszcie poradził sobie z identyfikacją. Podczas wystawy Międziewieczowej urzędowej przez Spółdzielnię Pracy „Permedia“, napisał: *Jak to dobrze, że powstała spółdzielnia, która zajmuje się urządzaniem wystaw i życiem kulturalnym*. Nic dziwnego w takim przypadku, mamy nawet spółdzielnie załażające wszystkie formalności ślubne. Ale „Permedia“ produkuje dedetol, nie zajmuje się etatową kulturą. Jest jednak w tym szczęśliwym położeniu, że ludzie w niej mają żywy ośrodek życia kulturalnego.

Praca kulturalna w „Permedii“ nie zaczęła się od dziś. Już w roku 1954 był cykl wieczorów poetyckich, potem gawędy krajoznawcze „Z biegiem Wisły“. Po słuchaniu wierszy największych poetów bardziej wyrobieni pracownicy ilustrowali prelekcje recytacjami. W wrześniu 1954 odbył się konkurs recytacji wierszy dla pracowników „Permedii“ i ich rodzin. W końcu stycznia 1955 spróbowano inscenizacji bajki Andersena „Swinopas“. 27 lutego 1955 odbyła się prapremiera „Wodewilu warszawskiego“, montażu o starej i nowej Warszawie. Nas'epne były „Dziady, część druga“, 28 maja, po raz pierwszy poza Lublinem, w Siostrzytowie. Potem wielokrotnie jeździł na wieś „Wodewil“. Ułatwia to współpraca z PKS-em, nawiązana po występie u nich. Na choince noworocznej 1956 teatr występuje po raz pierwszy z inscenizacją bajki „Smok wawelski“ Januszewskiej. 27 maja — dzień premiery „Jarmarku lubelskiego“, który pozostaje podstawową pozycją w repertuarze aż po pięćdziesiąty, jubileuszowy występ. Premiera odbyła się w Siostrzytowie.

„Zespół łączności miasta ze wsią“, „brygada agitacyjna“. Trudno zazwyczaj powstrzymać odruch zniecierpliwienia na taki szablonowy sztyl, kryjący nie raz niechętnie spełnianą „pracę społeczną“. „Latarnia“ nie przyznaje się do tych tytułów. Jest po prostu teatrem amatorskim, teatrem miłośników sceny. Inna sprawa z tym heroldem, który milcząc przenosi „oświatę kaganiec“. Zespół nie będzie ukrywał, że chce oddziaływać na innych. Przed tym jednak wypisano: *coś tworzyć, wychowywać się nawzajem*.

Zacznijmy od reżysera. Mała postać pani Basi Koterwas znajduje się w wiecznym ruchu. Pani Basia umie do swoich poczynań wciągnąć wszystkich znanych i wszystkich potrzebnych w ogóle, każdemu

wytłumaczyć wagę jego pomocy, niemal postannictwo, które ma do spełnienia. Sama pochłonięta działaniem, stosuje czas o swoją miarę do innych, w edy odaje się groźnym prześladowcą, któremu jednak nie sposób przeciwstawić odmowy. Z tym wszystkim nie zapomina, że dając, trzeba naprzód mieć. Nie ma szkolnego wykształcenia, jest w zasadzie samoukiem — poza książkami wykorzystuje jako źródło wiedzy przede wszystkim swoich licznych znajomych, przyjaciół. Pyta przy okazji o wszystko, w swoisty charakterystyczny sposób. „Jak to właściwie jest, ja oczywiście nie wiem?“ Zdarzają się przy tym wypadki, że wie o czymś więcej, niż zapytany, wtedy jednak sytuacja nie staje się mniej naturalna: „Nie każdy musi wszystko wiedzieć, a ja czasem coś wiem przypadkiem“. Dużo czyta i ma sąd o wszystkim. Nieraz to będzie przejawiona ocena od strony własnych potrzeb, od strony tego, co może dożyć do wszystkich — jednak bez pretensji do wyłączności. Ale zawsze będzie to samodzielne spojrzenie, oparte na sprawdzeniu własnym wysiłkiem. Trzeba coś wiedzieć o tym, co się robi i o świecie w ogóle. Pani Basia szyje kostiumy, robi lałki, kukielki. Jako „człowiek teatru“ jeździ od czasu do czasu na własny koszt, aby obejrzeć najlepsze warszawskie przedstawienia — najbardziej ceni „Lorenzaccia“.

Teraz o wychowywaniu się współpracowników. „Latarnia“ ma ich wielu, dzięki pani Barbarze Koterwas, niektórzy zostali obok aktorów wymienieni w „Złotej karcie“ Jednodniówki. Jest między nimi aktorka teatru im. J. Osterwy Halina Łuszczewska, studentka warszawskiej PWST Danuta Nagórna i sporo innych, wymienionych i nie wymienionych. Zdarzyło się i mnie być napadniętym przez panią Basię. Powiem o zdobyczach, jakie sam wyniosłem, nie chcąc mówić za innych. Jedna to podniecenie do współzawodnictwa. Drugą sprawę zreferuję na przykładzie. Przeglądając „Księgę Pamiątkową“ zauważyłem, że we wpisach widzów z Krasienina powtarza się kilkakrotnie uwaga „nie wszystko można zrozumieć“. Zaintygowany pytam, czy to możliwe, pamiętam surowa cenzura pani Basi odrzucająca mnóstwo pięknych tekstów jako zbyt trudne. Okazuje się, że zbyt trudnym numerem był wiersz Słonimskiego „Kolumna Zygmunta“. Do trudności, obok słowa „emblem“ należał epitet „dumny“ zastosowany do pomnika. Pani Basia rozmawiała wtedy długo z widzami, tłumaczyła wiersz, wycofany odtąd z „Wodewilu“. Tak, niełatwa sprawa z tą kulturą. Od tej rozmowy zrozumiałem raczej kierujące cenzura (pani Basia!) i nawet pisząc często sprawdzam, czy w tekście nie zawiklałem czegoś niepotrzebnie.

W jaki sposób dotrzeć do wszystkich utrzymując program atrakcyjny i na poziomie — to jeden z problemów, których rozwiązywanie ukształtowało koncepcję teatru „Latarnia“. Jest to w zasadzie teatr montażowy tematycznych — „Wodewil warszawski“, „Jarmark lubelski“. Program zawiera wiersze, dialogi, występy taneczne. Jest spity jakims jednym tematem, a dość rozmaity, by nie nużył i zainteresował różnych ludzi. Przy montażu mniejsza jest także strata nieobecność kółrogoż z uczestników — części są luźniej ze sobą związane, można niektóre opuścić bez większej

szkody dla całości. Można poza tym wykorzystać naj-
różniejsze talenty.

Wartości, jaką reprezentuje „Latarnia”, nie chciał-
bym mierzyć nagrodami na konkursach. Znajdą się
może zespoły lepsze, zdolniejsze, choćby lepiej przy-
gotowane przez stałych, fachowych reżyserów. Dla
mnie miarą wartości będzie różnica między pierwszą
próbą menueta a występem, między „odstukanym”
wierszem a recytacją. Zresztą „Latarnicwy” stają do
wojewódzkich eliminacji zespołów spółdzielnianych.
W indywidualnych konkursach recytatorskich odnosili
już sukcesy Alina Radomska i Barbara Tokarzewska.



Nie pisałem jeszcze o wystawie Mickiewiczowskiej.
To dalszy środek oddziaływania. Urządzona przez
„latarniowców” z wielkim nakładem pracy w lokalu
przy ul. 1 Maja 23, ogłaszana codziennie przez „Sztan-
dar Ludu”, przyciągała tłumy. Punkt był wybrany
dobrze — daleko od innych, śródmiejskich wystaw.
Przychodzili ludzie, którzy przeczytawszy przepisany
początek „Reduty Ordona” zapytywali, dlaczego nie
ma całego wiersza i na miejscu doczytywali go
z książki.

Codziennie od 19-ej do 20-ej odbywała się „Godzina
poezji” — recytacje członków „Latarni”. Był na nich
tłok, szczególnie wiele zamieszania wprowadzały dzie-
ci. Urządzono dla nich konkurs recytatorski, zwy-
cięzcy wystąpili w „Godzinie poezji”. Tego dnia wy-
lamano drzwi.

Jak uczą się słuchacze? Uczą się nienajgorzej i nie
nudnie. Dopytują „kiedy znowu przyjdziecie”? Na-
suwa się refleksja, że mimo ogromnego nakładu środ-
ków, które u nas idą na rozwój kultury mas, głód po-
trzeb jest wciąż ogromny. Zaplanowane, kierowane
akcje chodzą jak pociągi po stałych torach, a sporo
jeszcze kątów, w których ludzie widują pociąg tylko
przy nadzwyczajnej okazji. Wiadomo, że o tym, jak
daleko i głęboko można dotrzeć z kulurą, nie zawsze
decydują pieniądze i odgórne plany. Niezastąpiony jest
żywy człowiek z jego zapalem i pomysłowością.

Teatr „Latarnia” wydaje mi się ciekawym okazem.
Rozwija się jakoś sam, nienajgorzej i nawet z własnej
ochoty robi rzeczy, do których trzeba nieraz długo
i energicznie zachęcać. To nie jest błażostka, gdy
ludzie po ciężkiej pracy, nieraz dwunastogodzinnej,
przychodzą na próby a w niedzielę tłuką się do odle-
głych wsi ciężarówką (bo z PKS-em już się skończy-
ło, ma własnego instruktora). Dlatego przy pisaniu tego
artykułu może czasem dałem się ponieść entuzjazmowi.
Ale przecież nie te pochwały będą nagrodą dla
„latarników”. Mają oni lepsze, że zacytuje z ich księgi
pamiątkowej:

Eleonora Rynkowska prosi o więcej takich występów.

*Wiersz pana Tadeusza zadowoleniem słuchał mój
syn*

*Żyję pięćdziesiąt lat a czegoś podobnego nie widzia-
łem.*

I takie pismo urzędowe:

*Gdy będziecie w oddali i spędzać przyjemnie chwile
wspomnijcie o nas, kto wspomina was tak mile.*

*Pieczętka: Komendant Gminny OSPoż. Za-
krzew.*

*Oby tą serdecznością strażaka zaraziły się wszelkie
władze.*

Wojciech Górny

Jerzy Wichroń

WIZYTATOR RZEP - CZEPIAŁSKI*)

Wizytator Rzep-Czepiański — to doktryner zgięty
służbowo w paragraf. Przed wizytowaniem szkoły
zbiera o niej wszelkie pogłoski ze szczególnym
uwzględnieniem wieści o ładunku sensacyjnym, po
czym nadając swym zaokularzonym oczom nieco po-
lysku wnikliwości pojawia się w upatrzonym zakła-
dzie i zaciepiwszy pierwszego napotkanego nauczy-
ciela — oznajmia mu rytualnie:

— Zawiadomcie dyrektora, że przybył wizytator.

Gdy zawiadomiony dyrektor z uroczystym uśmie-
chem wpuszcza przybyłego dygnitarza do swego ga-
binetu, ów z miną wszechwiedzącego detektywa ce-
dzi słowa niezadowolenia z atmosfery w szkole, po
czym prosi o wykaz zarobkowych zajęć ubocznych
każdego nauczyciela, bo zgodnie z doktryną wizytato-
ra Rzep-Czepiańskiego, nauczyciel, który nie spędza
całego dnia aż do północy w macierzystej szkole, jest
grozozrobem depczącym hasło: „Blżej dziecka”. Po
przeliczeniu wykazanych w spisie godzin zajęć ubocz-
nych na brzęczącą monetę, wizytator Rzep-Czepia-

ski ma już gotową opinię o poszczególnych nauczycie-
lach i szereguje ich według lokat w oparciu o mate-
matyczną zasadę: wartość nauczyciela jest odwrotnie
proporcjonalna do wysokości jego zarobków!

Podczas wizytacji lekcji fajkuje zawzięcie czerw-
nym ołówkiem wszelkie nie wypełnione w dzienniku
pozycje, zahaczając nawet o rubryki frekwencji na
miesiące przyszłe w myśl hasła: pracuj ponad normę.
Następnie ze skupieniem rewizora analizuje szczegó-
łowy rozkład okresowy wszystkich godzin lekcyjnych
i z odkrywczą pasją podkreśla zielonym ołówkiem te-
matykę, którą nauczyciel naruszył czy zmienił w przy-
stępie niezaplanowanego natchnienia.

Po lekcji wizytator Rzep-Czepiański ukazuje „roz-
pracowywanemu” nauczycielowi zęby w mniej lub
więcej służbowym uśmiechu w zależności od wspom-
nianej lokaty tegoż i żegna go sakramentalnym po-
wiedzeniem:

— Z cyklu: „Sylwetki szkolne z minionego okresu”

— Na konferencji powizytacyjnej wytłumaczycie mi się z pewnych rzeczy!

Jeśli jakiś śmielszy podwładny pragnie przełamać barierę służbiści i zapyta, czy mógłby zwierzyć się poufnie z wielu trosk i poradzić w wielu wątpliwościach — wizytator oznajmia:

— Od tego macie dyrektora i zakładową organizację związkową. A zresztą rzućcie zajęcia uboczne, to znajdziecie czas na wyświetlenie swych wątpliwości. Blżej dziecka, kolego!

Gdy zaś zbity z pantalyku nauczyciel szepnie, że właśnie chce być bliżej dziecka, ale przede wszystkim własnego, któremu przez zajęcia uboczne pragnie zapewnić jak najlepsze warunki życia, Rzep-Czepialski, klepiąc go protekcyjnie po ramieniu, komunikuje:

— I ja mam dzieci, kolego, a jednak nie odbieram zarobku bezrobotnym magistrum, wołąc podreperować budżet utrzymaniem na stacji uczniów.

A gdy zmiażdżony tymi argumentami śmiałek bąknie, że gnieździ się w kłitce nieodpowiedniej na stację i że sam Wydział Oświaty zatrudnił go w kilku szkołach, stąd wniosek, że go tam potrzebowano, a poza tym wiele etatów w terenie czeka jeszcze na młodych adeptów, — wizytator, przybrawszy samokrytyczny wyraz twarzy, szepcze:

— U nas w Wydziale dużo jest jeszcze przerostów i braku czujności, a za gospodarke mieszkaniową do kłitek włącznie odpowiada MRN. Blżej dziecka! — kończy i wizytuje dalszych nauczycieli, zarzucając jednym formalizmem w postaci nadmiernej pisaniny w zeszytach wychowawczych, co oddala od żywego dziecka, drugim zaś — nieuważnianie swych doświadczeń i spostrzeżeń w zeszytach wychowawczych,

co pachnie zasklepieniem się we własnym samolubnym światku drobnomieszczzańskim, odcętym od dziecka.

Na konferencji powizytacyjnej — po wnikliwej, druzgocącej i wolnej od lakiernictwa analizie litych osiągnięć dydaktycznych i wychowawczych — ocenia pewne plusy, jakie szkoła zawdzięcza poprzedniej jego wizytacji mającej charakter demaskatorski. Posiłkując się fachową terminologią wizytatora Rzep-Czepialski analizuje nabór i odsiew młodzieży, ustawia profil szkoły w celu ukierunkowania grona nauczycielskiego, bada procent zaniżonych ocen po linii wyników na szczeblu wojewódzkim oraz karci personel za dydaktyzm, rygorizm, formalizm i brak kompleksowości w poszczególnych akcjach, szczególnie w zakresie zapobiegania marnotrawstwu produktów tak niezbędnych dla użyźnienia ogródka miczurinowskiego.

Swe cenne uwagi kończy służbowym ostrzeżeniem, by nauczycielstwo unikało pokątnych kontaktów z wszelkiego rodzaju świątyniami jako ostojami fideizmu — co wprawia w osłupienie niektórych pedagogów starszej generacji, pamiętających przedwonną nietolerancję wizytatora Rzep-Czepialskiego w stosunku do ateistów. Gorący zwolennicy wizytatora stwierdzają jednak, że to nie kameleon, ale mąż o żelaznej konsekwencji, któremu jeszcze żadna władza nigdy w życiu nie zarzuciła braku lojalności, co świadczy o stałości jego charakteru, i że w żadnym wypadku nie można doń odnosić złośliwego porzekadła zgrzybliwych belfrów:

„Zapomniał wół jak nauczycielem był“.

Jerzy Wichroń

WOLNA TRYBUNA

Z pola walki o właściwy klimat dla szkoły średniej

Coraz to liczniejsze wypowiedzi prasy na temat szkoły średniej są wyrazem niepokoju społeczeństwa o ten szczególnie ważny okres kształcenia młodzieży, który decyduje o wyborze właściwego lub niewłaściwego kierunku studiów uniwersyteckich oraz o poziomie kulturalnym przyszłego naszego inteligenta. Można z pewnym uproszczeniem zaryzykować pogląd, iż bitwę o poziom kulturalny (nie naukowy) inteligencji wygrywa lub przegrywa przede wszystkim nauczyciel szkoły średniej. Felietony w pismach codziennych, ośmieszające poziom kandydatów na wyższe uczelnie, nie mogą pozostać jedyną formą zainteresowania samym problemem.

Warto sobie zadać pytanie, gdzie jest właściwy nauczyciel szkoły średniej i jaki jest do niego stosunek władz szkolnych. Zajmijmy się tu terenem najbliższym, tzn. województwem lubelskim. Należy tu przede wszystkim z bólem i smutkiem stwierdzić nieodwracalny już chyba ubytek wielu

poważnych i zamiłowanych w zawodzie nauczycieli szkół średnich, ludzi o normalnym wykształceniu uniwersyteckim i długoletnim doświadczeniu, będących jeszcze w sile wieku a już zmuszonych przez władze szkolne lubelskie do porzucenia ukochanego warsztatu pracy. Drastyczność tego przymusu gotowa jestem zilustrować obfitym materiałem dowodowym. Nawet z ostatnich już lat warto przypomnieć sprawę prof. Rymaszewskiego z Liceum im. Unii Lubelskiej, przeniesionego przez lubelski Wydział Oświaty w stan nieczynny z powodu jakoby niemożności pełnienia obowiązków zawodowych, a (dopiero po odniesieniu się do Ministerstwa) — przywróconego do funkcji z udzieleniem wydatnej zniżki godzin.

Ale kto w Lublinie ma zająć się spowiewieranym nauczycielem szkoły średniej? Kierownik Wydziału Oświaty i jego zastępca całą siłą sentymentu zdają się ciężać ku macierzystemu dla nich szkolnictwu podstawowemu. Mówią, że najwyższy

zwierzchnik szkolnictwa średniego w skali wojewódzkiej, decydujący o całej terenowej organizacji szkolnictwa i dydaktyce — dziś, tj. po dwunastu latach od zakończenia wojny, nie ma normalnego wykształcenia uniwersyteckiego. (Czy to jest możliwe?). Dalej: jakim sposobem w ogóle może zrozumieć interesy i trudności nauczyciela szkoły średniej obecny szef personalny Wydziału Oświaty, który przeszedł do szkolnictwa ze spółdzielni jajczarsko-mleczarskiej? Twierdzą, że lubelski Wydział Oświaty nie stworzył jeszcze klimatu opieki ochrony nauczyciela szkoły średniej.

A poziom niektórych dyrektorów i dyrektorek lubelskich szkół średnich? Są wśród nich jeszcze b. nauczyciele szkoły powszechnej, którzy przed objęciem dyrektury nigdy nie pracowali w szkole średniej ogólnokształcącej, są byli inspektorzy i podinspektorzy szkoły powszechnej, mający tylko wykształcenie gimnazjalne lub seminaryjne, uzupełnione ew. egzaminem „uproszczonym”. A na prowincji jest jeszcze gorzej.

Istnieją też rady pedagogiczne, których większość stanowią b. nauczyciele szkół powszechnych mający dziś pełne kwalifikacje na podstawie tylko egzaminu uproszczonego. Zjawisko, które winno być uważane za anormalne, stało się w pewnych wypadkach regułą. Nawet pracownicy naukowemu Wydziału Oświaty, tj. kierownicy sekcji ośrodka szkolenia kadr oświatowych w skali wojewódzkiej (Wodko), nie wszyscy mają wykształcenie uniwersyteckie w zakresie swojej specjalności, a ci już bez wyjątku powinni je mieć. Kierownicy powiatowi (Podko) przeważnie są nauczycielami szkoły podstawowej i im to podlegają z reguły nauczyciele szkół średnich jako tzw. instruktorzy. Nie więc dziwnego, że zdarzają się osobliwości. Np. nauczyciel w rozmowie z przełożonym słyży przekrecone wyrazy obce w rodzaju „garibaldiny” zamiast „gabardiny” lub, dając młodzieży do opracowania temat stanowiący „przedstawienie” pewnego problemu, otrzymuje pouczenie, że przedstawienia są tylko w teatrze itp., itp.

Szczególnie boleśnie ucierpieli nauczyciele języka łacińskiego. Dzieje poniewierki tego wysoce kształcącego przedmiotu szkolnego godne są piśmennego przekazu, godni współczucia nauczyciele, którzy w zastępstwie lub dla dopełnienia etatu muszą uczyć geografii, matematyki, języków obcych nowoczesnych a nawet rysunku. Nauczanie rysunku zaproponowano np. b. kierownikowi ośrodka dydaktyczno-naukowego filologii klasycznej, doktorowi filozofii. Można tu przy sposobności wyrazić opinię, że obowiązkowa nauka trzech języków, tzn. jednego zachodniego, rosyjskiego i łacińskiego nie obciążałaby zbytnio młodzieży, tym bardziej, że język rosyjski jest dla Polaka językiem pokrewnym. W swoim czasie uczyla się młodzież obowiązkowo dwu języków zachodnio-euro-

pejskich oraz łaciny i nie poczytywała sobie tego za krzywdę ani za nadmierny trud.

Wracając do tematu, należy więc stwierdzić, że lubelskie szkolnictwo średnie i jego wojewódzkie władze szkolne cierpią jeszcze dziś na niedokształcenie. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest (jak się rzekło) okoliczność, że w okresie powojennym napłynęła do szkolnictwa średniego wielka fala nauczycieli szkół powszechnych. Autorka tego artykułu nie zamierza deprecjonować nauczyciela szkoły podstawowej, którego walory dydaktyczne, obywatelskie, aktywność organizacyjna, zaradność życiowa, pogoda w niewdzięcznej pracy i bezinteresowność w zajęciach społecznych zasługują bezsprzecznie na uznanie, ale... w ramach właściwego warsztatu pracy zawodowej.

Tygodnik „Po prostu” (Nr 20 z 13 maja 1956) w artykule Borkowicza i Chudzyńskiego bije na alarm, że magistrzy UJ otrzymują przydziały pracy nie do szkół średnich, ale do niższych klas szkoły podstawowej (do czego oczywiście nie mają przygotowania pedagogicznego). Co więcej, według informacji tegoż tygodnika, tylko dzięki „protekcji” prorektora Lepszego absolwent wydziału historii UJ otrzymał w PAN-ie etat pracownika fizycznego. Moim zdaniem, starczy jednak wiele jeszcze miejsca w szkole średniej, jeśli się realnie pomyśli o powrocie nauczycieli szkół podstawowych na ich właściwe miejsca i jeśli się wreszcie zaniecha praktyki uproszczonych, zastępczych form kwalifikowania nauczycieli szkół średnich. Akcją w tej drugiej sprawie już rozpoczęto, lecz, niestety, rozwija się ona bardzo powoli, a czas nagli.

Drugim palącym zagadnieniem jest sprawa celowości instytucji WODKO i PODKO. Ta olbrzymia machina, z własnym budżetem(!), służyła dotąd nierzadko jako pomoc fachowa dla wizytatorów w ocenie nauczyciela, a więc była w pewnym stopniu aparatem usługowym Wydziału Oświaty, nawet w czasie tzw. wizytacji „frontalnych”. W następstwie kierownik WODKO stawał się po prostu urzędnikiem Wydziału Oświaty, a nauczyciel tracił zaufanie do pomocy dydaktycznej WODKO.

Czas przejść do bardziej twórczych form szkolenia nauczyciela a jednocześnie przypomnieć sobie palącą konieczność dostarczenia nauczycielom podstawowych podręczników metodyki. Ale kto je stworzy? Urzędnicy?

Trzeba także zająć się sprawą podręczników szkolnych. Ta dziedzina to rodzaj przysłowiowej stajni Augiasza. Istotnie: konieczny jest jakiś heraklesowy wysiłek, aby na nowo ruszyć z miejsca we wszystkich przedmiotach.

Nie są też obojętne sprawy pomieszczeń szkolnych, pomocy naukowych itp. Tak, wiele jest do zrobienia, ale przede wszystkim: niczego nie upraszczać.

Janina Pliszczyńska

W numerze 44 „Nowej Kultury“ na pierwszej stronie tego pisma ukazał się anons w czerwonej ramce. Anons podpisany przez Wielkie Konsylium Redakcyjne zapowiada rewelacyjną literacką reinkarnację: „Nowa Kultura“ — bojowy organ ZLP ma się przekształcić z woli Wielkiego Konsylium Redakcyjnego w pismo grupowe, samodzielne i autonomiczne — w nowym ciele stary duch!

W numerze 44 „Przeglądu Kulturalnego“ opublikowano na drugiej stronie skromny komunikat, który informuje, że „zgodnie z uchwałą Prezydium Rady Kultury i Sztuki oraz decyzją (...) Kolegium“ — „Przegląd Kulturalny“ przestaje być od bieżącego numeru Trybuną wzmiankowanej Rady.

Tak więc staliśmy się przypadkowymi świadkami dwóch ciekawych kulturotwórczych zjawisk literackich.

Nie chcę podważać słuszności decyzji Prezydium Rady Kultury i Sztuki. Obecny mi jest mechanizm, obca procedura tego rodzaju administracyjno-literackiej manipulacji. Nie wiem, jaka jest różnica między Kolegium a Komitetem Redakcyjnym. Choć nie uważam przyjaznej krytyki redakcyjnych naczałstw za objaw ingerencji w wewnętrzne sprawy redakcji, nie zabieram głosu i nie zgłaszam w zasadzie poważniejszych zastrzeżeń co do składu personalnego redakcyjnego Komitetu. To, co powiedziałem przed chwilą, dotyczy jednak wyłącznie „Przeglądu Kulturalnego“.

Natomiast zakusy kolegium „Nowej Kultury“ wymagają wyczerpującego omówienia. Zrobię to niewątpliwie na innym miejscu i w innym czasie. Aktualnie ograniczę się jedynie do wypunktowania pewnych zasadniczych uwag. Głos zabieram przede wszystkim jako członek Związku, z innych tytułów oraz z innych racji prawno-moralnych tymczasem rezygnuję.

Wysuwam już jednak postulat pod adresem lubelskich delegatów na Zjazd ZLP, by na Zjeździe kategorycznie sprzeciwiali się ewentualnej realizacji konkwistadorskich projektów członków kolegium naszego wspólnego de nomine tygodnika. Postuluję również przeprowadzenie radykalnych zmian w osobowym składzie obecnego kolegium „Nowej Kultury“.

„Nowa Kultura“ — centralny organ ZLP, nie może być redagowana przez skompromitowanych „inżynierów dusz“. „Nowa Kultura“ — centralny organ odrodzonego ZLP, w okresie polskiej rewo-

lucji, nie może być redagowana przez literatów, których reżimowy socrealizm przez całe lata głąskał po potulnych główkach.

Komunikat w czerwonej rewolucyjnej ramce można uważać za balon próbny (kupić — nie kupić, potargować można!). Projekt zgłupiafrantowskiej próby korsarskiego zakaperowania naszego wspólnego pisma przez szczęśliwców, którzy dwanaście lat spędzili pod choinką reżimowej literatury w objęciach socrealistycznego Dziadzia Mroza — należy napiętnować i utracić. Póki czas!

Literatura ma to do siebie, że pozostawia trwałe literackie dokumenty. Poprzedni stalinowski okres administracyjnego kulturowania miał tę dobrą obecnie dla szarych, zdrowych mas członkowskich stronę, że wprowadził administracyjnie do bibliotek książki najbardziej „służebne“. Książki te spełniać będą rolę oskarżycieli, w wypadku zaś ewentualnego kontraktaku literackiej reakcji — rolę naszych adwokatów.

I dlatego protestuję jak najbardziej kategorycznie przeciwko obecności w kolegium „Nowej Kultury“ pana Konwickiego, pana Brandysa i pana Macha. — Na razie! Protestuję w imieniu tysięcy nauczycieli, którzy musieli na Radach Pedagogicznych omawiać „Obywateli“ i wprowadzać tę książkę do bibliotek szkolnych. Uzasadniać mego protestu nie potrzebuję. W pięknych latach stalinizmu dzieło Brandysa spełniło swą rolę. Apeluję również do Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz do lubelskich posłów, by zbadali, kto w roku 1956 zalecił edycję trzeciego, masowego (50 tys. egzemplarzy!) wydania w Bibliotece Jaskółki antygomułkowskiego paszkwilu pana Konwickiego pt. *Władza?* Ta sprawa powinna być jak najrychlej wyjaśniona!

Oświadczam, że nie wierzę również, by pan Mach był szczerym zwolennikiem zatamizowania naszego życia kulturalnego. Jego lęk przed zbrukaniem literatury brudnym wybujałym indywidualizmem twórczym jest powszechnie znany (odnośny artykuł „Nowej Kultury“ przechowuję pieczołowicie jako cenny dokument obskurantyzmu intelektualnego).

Dla tych, którzy zechcą zgłaszać ewentualne pretenzje do tego artykułu, podaję moje imię i nazwisko:

Zbigniew Jakubik



KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY

Na inauguracji roku akademickiego w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim obecny był Prymas Polski, J. E. Ks. Kardynał Stefan Wyszyński. Uroczystości inauguracyjne poprzedziła msza w kościele akademickim, podczas której Ks. Prymas wygłosił kazanie do studentów KUL. Na inaugurację przybył również dyrektor departamentu Ministerstwa Szkół Wyższych Leszczyński.

W lubelskim oddziale Stowarzyszenia Dziennikarzy wybrano nowy zarząd: przewodniczącym został Marek Jaworski ze „Sztandaru Ludu“, I wiceprzewodniczącym — Tadeusz Chabros z Polskiego Radia, II wiceprzewodniczącym — Leszek Siemion („Sztandar Ludu“), sekretarzem — Bronisław Rędzioch, skarbnikiem — Stefan Ziemiński. Wiera Korneluk i Bogusław Szykuła — członkowie zarządu. Do komisji rewizyjnej wybrano Genowefę Sroczyńską, Ryszarda Wnuka i Jerzego Turzańskiego.

W Filharmonii Lubelskiej nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora. Na żądanie zespołu orkiestralnego opuścił to stanowisko po długotrwałej i uporczywej walce ob. R. Wiercioch. Nowym dyrektorem mianowany został muzyk, dyrygent Andrzej Cwojdzński. Kierownikiem artystycznym Filharmonii jest Karol Strzempa.

W dniu 6 listopada odbyło się nadzwyczajne walne zebranie oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich w Lublinie oraz architektów niezrzeszonych. Omawiane były sprawy twórczości architektonicznej i urbanistycznej ośrodka lubelskiego.

W listopadzie otwarta została w sali wystawowej przy ul. Narutowicza 4 jesienna wystawa prac lubelskich artystów plastyków, zorganizowana przez Zarząd Okręgu ZPAP i Centralne Biuro Wystaw Artystycznych.

Na konkursie fotografii amatorskiej zorganizowanym przez Miejski Dom Kultury w Lublinie pierwszą nagrodą odznaczono pracę Alicji Kudlickiej i Bohdana Przybyły pt. „Moja dzielnica“. Drugą nagrodę otrzymali: Stefan Kielsznia za „Portret M. G.“ i inż. Szramowicz za pracę „W cieniu drzew“, trzecią — Janusz Chromiński i Halina Górską. Ponadto autorów pięciu dalszych prac wyróżniono dyplomami uznania.

Biblioteka im. Łopacińskiego przygotowuje się obecnie do obchodu pięćdziesięciolecia istnienia (r. 1957). W związku z tym ukaże się księga pamiątkowa. Na czele jej komitetu redakcyjnego stanął prof. Feliks Araszkiewicz.

Z ostatnich nabytków Biblioteki im. Łopacińskiego wymienić należy cenny księgozbiór po Zamoyskich z Klemensowa. Są to starodruki i polonica z XVIII i XIX wieku. Księgozbiór liczy około 10 tysięcy tomów.

Na Zamku Lubelskim prowadzone są prace konserwatorskie w kaplicy. W pierwszym ich etapie dokonano oczyszczenia sklepienia i ścian. Po oczyszczeniu odbito poprzednie przemalowania, pod którymi ukazały się właściwe freski.

W Zamościu w czasie robót renowacyjnych na Starym Rynku odkryto znowu ślady sgrafitta na jednej z kamienic. Ukończono już prace renowacyjne przy

kilku kamienicach na ulicy Ormiańskiej i na placu Mickiewicza.

W Chełmie zorganizowana została przez Muzeum wystawa pt. „Galeria Treliakowska w Moskwie w reprodukcji“. Wystawiono również prace współczesnych plastyków polskich wykonane różną techniką (drzeworyt, litografia, rysunek, tempera, olej). Wystawy cieszyły się wielkim powodzeniem.

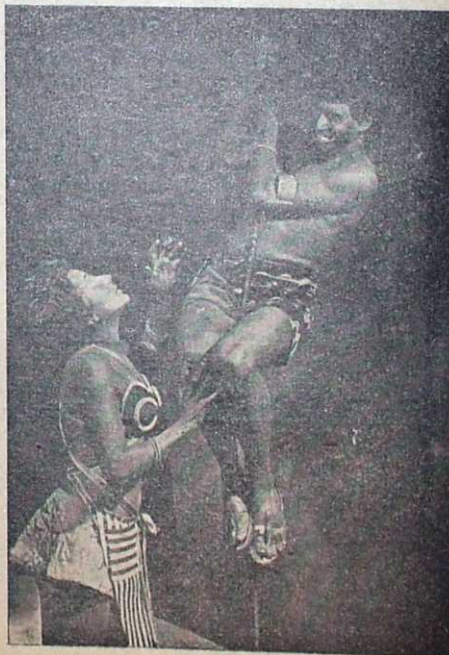
15 listopada odbyła się w Klubie Pracowników Kultury w Lublinie impreza pt. „Echa dyskusji klubowych“. W roli prelegentów wystąpili członkowie lubelskiego oddziału ZLP: Włodzimierz Chełmicki, Zbigniew Jakubik i Stefan Zarębski. Impreza, stanowiąca pewne novum w akcji odczytowej klubu, wywołała zainteresowanie obecnych, o czym świadczyła ożywiona, blisko dwugodzinna dyskusja.

W Lublinie powstał oddział Związku Esperantystów. Zorganizowano już trzy kursy języka, czwarty — w toku organizacji.

H. S.

Z TEATRU

W Państwowym Teatrze im. J. Osterwy odbyła się prapremiera „Araratu“ Artura Maryi Swinarskiego. Sztukę wyreżyserował Jerzy Goliński, dekoracje i kostiumy zaprojektowała Teresa Targońska, ilustrację muzyczną skomponował Ryszard Schreiter. Wchodzi także na afisz „Fantazy“ w reżyserii Jana Kreczmara, w oprawie scenicznej Jerzego Torończyka i Teresy Targońskiej. Recenzje z „Araratu“ i „Fantazego“ ukażą się w najbliższym numerze „Kamieny“.



Scena z „Araratu“

W Lublinie powstało Koło Przyjaciół Teatru, które ma na celu pogłębienie wiedzy publiczności o teatrze poprzez żywy, wielostronny kontakt z teatrem lubelskim. (r)

UCZCZENIE PAMIĘCI AUTORA „STARYCH KAMIENI”

Sprawa należytego i trwałego uczczenia pamięci Józefa Czechowicza, dziecka Lublina, jednego z największych poetów dwudziestolecia międzywojennego, stała się aktualna w drugiej połowie 1955 r., kiedy to na wniosek Zarządu Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Miejska Rada Narodowa postanowiła: 1) położyć na grobie autora „Starych kamieni” odpowiednią płytę, 2) wmurować tablicę pamiątkową w ścianę domu, w którym się urodził, i 3) nazwać jedną z ulic naszego miasta jego imieniem.

Od postanowienia do realizacji droga często nie jest krótka. W lutym br., na skutek zwrocenia się Wydziału Kultury przy MRN, zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP opracował treść napisów, skontaktował się z inż. architektem T. Witkowskim, który zgodził się opracować projekt, przygotować kosztorys i pomóc we wszystkich sprawach technicznych związanych z wybraniem i przywiezieniem do Lublina odpowiedniego na płytę kamienia, z jego artystyczną obróbką itp. Zdawałoby się więc, że sprawa weszła na właściwą drogę i że jej realizacja to kwestia kilku tygodni. Stało się jednak inaczej.

Nieznane są literatom lubelskim bliżej wszystkie przeskody, które stały na jej drodze. Wielokrotnie Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP interweniował u tzw. właściwych czynników i za każdym razem otrzymywał obietnice, że w najbliższym terminie wszystko będzie załatwione. Tak upłynęła zima, wiosna, lato i nadeszła jesień. Mimo gorących dni „polskiego października” przypominano władzom samorządowym o postanowieniu i obietnicach. Być może długo by jeszcze czekano, gdyby nie energia ob. Jadwigi Grossman, naczelniczki Wydziału Kultury PWRN, która zainteresowała się sprawą poważnie. Wkrótce znalazły się należyte fundusze i właściwa pomoc. Z ramienia Wydziału Kultury wzięła w swoje ręce sprawę konserwator lubelski inż. Gawarecki. Skontaktował się on z inż. architektem Witkowskim. Ustalono szczegóły przygotowania płyty i tablicy pamiątkowej. Należy więc mieć nadzieję, że do końca br. wszystko będzie załatwione pomyślnie. Gdy płyta będzie gotowa, ustalony zostanie termin uroczystości jej położenia.

Natomiast nie można przewidzieć dokładnie daty wmurowania tablicy pamiątkowej. Dom przy ulicy Kapucyńskiej (dzisiaj Osterwy), w którym urodził się Czechowicz, został zburzony podczas bombardowania. Na miejscu jego wybudowany będzie lubelski Centralny Dom Towarowy według projektu wymienionego wyżej inż. arch. T. Witkowskiego. Gdy budynek zostanie ostatecznie wykończony, co nastąpi nie wcześniej niż w końcu 1957 r. lub w pierwszej połowie 1958 r., dopiero wtedy można będzie pomyśleć o wmurowaniu tablicy pamiątkowej. Ale obecnie, równocześnie z położeniem płyty na grobie poety, można dokonać nazwania ulicy jego imieniem. Predestynowana jest do tego ulica im. Osterwy, dawna Kapucyńska, przy której urodził się i długie lata mieszkał Józef Czechowicz.

Nazwa tej ulicy miała trochę niezwykłe koleje. W okresie stalinizmu uznano tradycyjną nazwę za nieodpowiadającą duchowi czasu. Zmieniono ją więc na Daszyńskiego. Wkrótce jednak Daszyński popadł w niełaskę jako leader prawicowej PPS i Kapucyńska stała się ulicą im. Osterwy, dlatego że imieniem wielkiego aktora nazwano sąsiadujący z nią państwowy teatr.

Stwierdzić trzeba, że ani Daszyński ani Osterwa nie wspólnego z Lublinem nie mieli. Nazwanie teatru

już jest poważnym uczczeniem Osterwy. Dlatego słuszną jest rzeczą, skoro Czechowicz związany był z tą ulicą, nazwać ją jego imieniem. (w)

ZE ŚRODOWISKA KUL

Wypadki październikowe odbiły się żywym echem w środowisku KUL. W środowisku tym, pozostającym dotąd w pewnej izolacji, coraz silniej przejawia się wola udziału w ogólnonarodowej walce o suwerenność i demokrację, o prawdziwy postęp społeczny.

Środowisko KUL odcięło się zdecydowanie od negatywnego stanowiska zajętego wobec zachodzących w Polsce przemian przez kierownictwo Pax-u, w szczególności przez B. Piaseckiego, uważając zresztą takie stanowisko za naturalną konsekwencję roli odgrywanej przez tych ludzi w okresie stalinizmu.

Kiedy jeszcze w gorących dniach październikowych formował się w Warszawie Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej, szereg pracowników naukowych KUL zgłosiło do niego swój akces, a prof. Irena Sławińska weszła obok Jerzego Turowicza z Krakowa w skład prezydium, na którego czele stanął Jerzy Zawieyski.

Młodzi pracownicy naukowcy chcąc stworzyć warunki dla twórczej dyskusji nad aktualnymi problemami współczesnej rzeczywistości utworzyli Klub Dyskusyjny Młodej Inteligencji Katolickiej „Tygiel”.

Koło Społeczno-Postępowe Studentów KUL, związane dotychczas ze Stowarzyszeniem Pax, postanowiło zerwać te więzy i poszukuje nowych dróg pracy w duchu autentycznego katolicyzmu i prawdziwego postępu.

ZSP na KUL, grupujące dotąd nieliczną tylko część studentów, przekształca się w organizację zrzeszającą i reprezentującą ogół słuchaczy Uniwersytetu.

W ostatnim posiedzeniu WKFN w Lublinie, które odbyło się 20.XI.1956 r., wzięła udział grupa pracowników KUL. W dyskusji zabrał głos dr J. Łukaszewski. is

PIĘKNA SALA WIDOWISKOWA — DLA LUBLINA

Lublin, tak jak i wiele miast w Polsce, ma niedostatek budynków przeznaczonych na cele widowiskowe i kulturalne. Wskutek działań wojennych zniszczone zostały dwa kina w śródmieściu, w tej liczbie k. no „Corso” — większe od obecnego „Wyzwolenia”. Mimo że ludność naszego miasta w stosunku do okresu przedwojennego znacznie wzrosła, nie wybudowano w ciągu 12 lat ani jednego nowego kina. Sytuacja na tym odcinku jest trudna, a tłok przy kasach przybytków X Muzy przypomina ścisk w autobusach i trolleybusach.

Obecnie istnieje możliwość zdobycia dla ludności Lublina nowej wielkiej sali. Przy ul. Narutowicza w swoim czasie Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa wybudował okazały gmach popularnie przez mieszkańców Lublina nazwany... lubelskim pałacem kultury. Ponieważ Komitet Bezpieczeństwa ma być zlikwidowany, a personel jego wydatnie zredukowany, otwiera się perspektywa uzyskania sali widowiskowej w tym budynku do celów społecznych i kulturalnych. Odbywały się w niej projekcje filmowe, ale za tzw. żółtą firanką, to znaczy tylko dla wtajemniczonych. Dziś salę tę oraz sąsiadujące z nią pokoje klubowe można by przeznaczyć na cele widowiskowe i społeczno-kulturalne. (g)

GŁOSY Z TERENU

Krasnystaw:

20.000 tomów to pokaźny księgozbiór. Może się nim poszczycić połączona biblioteka powiatowa i miejska w krasnystawskim Domu Kultury. Gromadzkie biblioteki, których jest 21, posiadają w sumie jeszcze więcej — aż 55.000 tomów. Cóż jednak z tego, skoro tylko 7 z nich przejawia sprawniejszą działalność. Pozostałe nie spełniają swej roli, a to głównie dzięki niewłaściwemu stosunkowi do nich gromadzkich rad narodowych. Wystarczy przytoczyć fakt, że z zasady nie przydziela się w odpowiednim czasie tym placówkom kulturalnym węgla, bibliotekarzom z zasady nieregularnie wypłaca się pensje. A oto jeszcze bardziej pikantny szczegół: w Ustrzycy 5000 książek marnieje w stodole, gdyż GRN odmawia wydania 2 m² desek koniecznych do wykończenia lokalu dla biblioteki. No cóż, kłopotów co niemiara — myślą pewnie radni — a tu licho nadało jeszcze tę kulturę...

Żółkiewka:

Trzy świetlice znajdują się w tej osadzie, lecz dwie z nich zasługują raczej na nazwę ciemnic niż świetlic. Może by więc zlikwidować te zbędne, a skoncentrować się przynajmniej na postawieniu na odpowiednim poziomie pracy w jednej. Podobno coś się już robi w tym kierunku: powstaje zespół muzyczny kierowany przez instruktora-muzyka z Krasnegostawu. Niechby tylko dobrze rozwinęła się podobna inicjatywa, a mniej młodzieży będzie przepijało pieniądze w miejscowej gospodzie.

Lopiennik:

Ta bardzo skromna osada, a właściwie ładnie położona wioska, z jedynym okazałym akcentem kościoła w stylu neogotyckim, pogrążona jest w głębokiej drzemce. Nic tu się nie dzieje. Jedynie od czasu do czasu jakiś film, od czasu do czasu jakiś występ „Estrady“... Poza tym cisza, a właściwie pijacka wrzawa, gdyż — jak wiadomo — nudy sprzyjają zalewaniu robaka... Doprawdy, konieczna tu jest jakaś szeroko zakrojona akcja zwalczająca alkoholizm i dająca tym ludziom możliwości innego, kulturalnego życia.

Lubartów:

Największą żywotność przejawiają w Lubartowie ośrodki szkolne. Powstało Koło Miłośników Historii, mające głównie na celu zainteresowanie młodzieży

sprawami dziejów ojczystych. Tworzy się Muzeum Ziemi Lubartowskiej: zebrano około 200 eksponatów, przeważnie z darów młodzieży (między innymi stare monety polskie i okaz rzadkiej, starej porcelany wyrobianej w powiecie).

Natomiast bardzo ospale działają „odnowiciele“ lubartowskiego Pałacu Sanguszków, mającego kapitalne znaczenie dla potrzeb miasta. Już kilka lat trwają prace, a dopiero za rok przewiduje się oddanie do użytku części tej okazałej budowli. Ma tam przenieść się większość biur PMRN, która zajmuje w tej chwili 14 lokali! A więc dopiero za rok może zaradzi się częściowo dotkliwemu brakowi mieszkań, co jest obecnie palącym problemem Lubartowa w związku z coraz większym napływem do miasta ludności wiejskiej. (Z funduszy państwowych ani miejskich nie wzniesiono dotychczas żadnego budynku). Może i powstanie wreszcie tak potrzebny miastu Dom Kultury, mający znaleźć locum w opróżnionym głównym gmachu PMRN. A więc pomożcie lubartowiakom — szybko wykończcie Pałac!

Dąbrowica:

Bogata tu okolica, a przyjeźdnemu po prostu wstyd za ludzi chodzących w lachach, za ich domy mieszkalne i budynki gospodarcze, urągające zasadom czystości i higieny. Wielki czas, by z tym polskim brudem rozpocząć walkę zakrojoną na szerszą skalę, bo niestety Dąbrowica jest tylko jednym z wielu przykładów tego straszego zaniedbania. A przecież czystość to jedna z zasadniczych cech kultury!

Zawieprzycze:

Że można zachować nawet maximum tej wymaganej czystości w gospodarce, domu i ubiorze — dowiódł 11-hektarowy gospodarz z kolonii Zawieprzycze, Wacław Janociński. Otrząsnął się on z psychozy lęku przed mandatami karnymi i „domiarami“, jakie ciągały za sobą wszelkie widome znaki inwestycji, np. pokrycie budynku blachą czy ogrodzenie sadu drucianą siatką. W mieszkaniu podłoga wyfroterowana, świeża pościel, lśniąca czystość w kuchni, a przecież gość nie był spóźniany... Na podwórzu wzorowy porządek, przechodzą bielutkie owce, jakby świeżo po rannej toalecie. Chciałoby się wszędzie na wsi widzieć taki stan.

C.



Petrarka stał się nam bliski

Literatura włoska najwcześniej z europejskich zdobyła stanowisko ogólno-światowe, ale język Dantego i Michel Angela rozbrzmiewający w dobie renesansu na dworach królewskich i w kręgach uczonych wszystkich narodów ustąpił potem miejsca innym zachodnioeuropejskim, które w ostatnich stuleciach zdobyły znaczenie międzynarodowe.

Utwory włoskiego geniuszu poznajemy na ogół wówczas dopiero, gdy są przełożone, bo język ich oryginalny znają jedynie niektórzy uczeni i pisarze. Przełomowe dla całej estetyki współczesnej dzieła Benedetta Crocego czytają humaniści polscy co najwyżej we francuskich przekładach, a części w... polskich streszczeniach i opracowaniach. Arcydzieła literatury włoskiej w tedy dopiero są u nas znane powszechnie, gdy przyjął się ich szata polska. Stąd w naszej recepcji kulturalnej możliwa była wielowiekowa rywalizacja wybitnego poematu Tassa „Goffred” z arcydziełem najwyższej miary — „Boską Komedią” Dantego, gdyż przekład Piotra Kochanowskiego, recytowany nad kolebką Adama Mickiewicza i zapładniająca twórczo przyszłego autora „Grażyny”, stanowiła epokę w dziejach polskiej poezji, a porządne przekłady „Boskiej Komedii” wyszły dopiero w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu pod piórem Edwarda Porębowicza, następcę Alfina Świdorskiej. Stąd mówienik Dantego, Francesco Petrarca, był właściwie dotychczas nieznanym.

Powszechnie wymieniało go w towarzystwie Dantego i Boccaccia. Pamiętano o Laurze i traktowano sonety do niej jako symbol poezji miłosnej. Uczono w szkołach, że Petrarka to pierwszy wielki sonecista w literaturze światowej. Szermowanie nazwiskiem Petrarki było jednak aż do niedawna na ogół tylko przejawem werbalizmu. Jeśli nawet ktoś zadawał sobie trud czytania „Pieśni” Petrarki w tłumaczeniu Felicjana Falańskiego — poety, któremu należy się zresztą w dziejach naszej literatury miejsce wcale nie ostatnie — nie pozostawał pod urokiem wielkiego sonecisty sprzed sześciu wieków. Jedynie dzięki pełnym wydaniom poezji Mickiewicza, coraz częściej wznawianym i stającym się w wieku XX naprawdę własnością całego narodu, sonety: „Chciecie wiedzieć co cierpię...” i „Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela...” jak również canzona „O jasne, słodkie, o przeczyste wody...” były własnością ogółu.

Przed paru miesiącami ujrzała światło dzienne książeczka, która włoskiego poetę przybliżyła polskiemu czytelnikowi. W pożytecznej, estetycznie wydanej i dobrze redagowanej serii nazwanej Biblioteką Poetów ukazał się wybór „Sonetów do Laury” w przekładzie Jalu Kurka z przedmową Mieczysława Brahmra. ¹⁾

Koncepcja wydania „Sonetów” w wyborze może na pierwszy rzut oka zadziwiać. Wybór dla Biblioteki Poetów byłby zrozumiały, gdyby istniał przekład całości dokonany przez tego samego tłumacza. Wybrał ów tłumacz 102 sonety spośród 317 czyli mniej więcej co trzeci utwór cyklu. Tłumaczył tylko te. Czy wybrał trafnie? Czy pokazał nam Petrarkę „całego”, w najsłabszych przejawach jego talentu? Czy z innych sonetów nie zrezygnował dlatego, że jemu (tłumaczowi) zabrakło poetyckiej inwencji dla ich odnania? — To pytania narzucające się czytelnikowi dociekiwemu i mało fachowemu.

Obiekcje te nie są bowiem słuszne. Pamiętajmy, że Biblioteka Poetów jest wydawnictwem popularnym, które w niewielkich tomikach, przypominających kształtem XIX-wieczne sztambuchy poetyckie, pomieścić może tylko rzeczy najcenniejsze. Zachowując wszakże w wyborze „Sonetów do Laury” numerację poszczególnych utworów z pełnego zbioru canzoni i podając przy każdym sonecie pierwszy wiersz oryginału zaspokaja tomik również w pewnej mierze postulaty naukowe, a przynajmniej wskazuje drogę dociekiwemu filologowi, który ma możliwość skontrolować tłumacza. Ze stanowiska profana, który nie zna Petrarki w oryginale ani też nie znał go dotąd w całości w polskiej szacie, podkreślić trzeba, że uważne zestawienie pierwszych wierszy oryginału z początkiem w polskim przekładzie mówi o wierności tłumacza, jak też o jego trosce doborania na początek słów ważnych. Dokładne wczytanie się w 102 sonety przyswojone przez Kurka pozwoli stwierdzić, że Petrarkę poznajemy w zupełnie obfitej dawce, że cała gama wyrazu poetyckiego, szeroki wachlarz uczuć miłosnych wyrażonych udanym wierszem stoi przed czytelnikiem.

Kompetentny recenzent ²⁾, poddając przekład Kurka rozważnej analizie opartej o należyte tło porównawcze, doszedł do wniosku, że tłumacz wiernie oddający myśl oryginału nie stanął na wyżynie petrarkowskiej, a nawet w niektórych miejscach przewyższył go: XVII-wieczny Daniel Naborowski czy nieznanymi zupełnie Janusz Kawecki, nie mówiąc o Porębowiczu i nie śmiąc nawet uczynić porównania z Mickiewiczem. Nie zmalał trud i znaczenie pracy Falańskiego jako tłumacza Petrarki. Ale i Kurkowi przynależało, że w jego wersji Petrarka „jest prosty, jasny, zrozumiały i skromny. Może się podobać, może nawet wzruszyć nie znających oryginału lub lepszego spolszczenia”.

Petrarka czeka jeszcze na polski przekład kongenialny, ale tłumaczenie Kurka uczyniło duży krok w przybliżeniu go polskiemu czytelnikowi.

Ukazał się Petrarka w dobrym towarzystwie. Seria rozpoczęta dwutomowym wyborem Poezji Norwida przyniosła następnie tomik i Mickiewicza, i Słowackiego, a z obcych poetów obok Petrarki Ronsarda i Michel Angela. Należy z całym uznaniem powitać obraną linię wydawniczą serii.

O Petrarcie informuje zwięzła, doskonale napisana przedmowa do „Sonetów” pióra najwybitniejszego w Polsce znawcy literatury włoskiej. Ale czytelnikom pragnącym o Petrarcie wiedzieć więcej przychodzi z pomocą wydana jednocześnie niemal z tomikiem „Sonetów” książka Jana Parandowskiego ³⁾. Parandowski ma w literaturze naszej miejsce ustalone już na zawsze jako powieściopisarz, esseista, tłumacz. Głęboka wiedza o literaturze światowej i wszystkich jej największych epokach i pisarzach przebiega z każdego utworu autora „Godziny śródziemnomorskiej”. Szerokość horyzontu Parandowskiego jest godna podziwu, ale erudycja nigdzie u niego nie przytłacza, nie pozabawia rozkoszy odniesionej z lektury lekko, przyjemnie napisanej powieści, noweli, a nawet studium i rozprawy. Każda nowa pozycja Parandowskiego od razu rozpoznac daje jego autorstwo, ale też każda nowa książka jest inna nie tylko tematem, ale i koncepcją.

¹⁾ Piotr Grzegorzczuk, *Petrarka dla ubogich, Twórczość* 1956, nr 3, s. 129—133.

²⁾ Jan Parandowski, *Petrarka*. W-wa 1956. Czytelnik.

¹⁾ Francesco Petrarca. *Sonetów do Laury*. Wybór. Przełożył Jalu Kurek. Wstępem opatrzył Mieczysław Brahmra. PIW (W-wa 1956).

nie łatwo o zestawienie dla niej na najszerszym choćby tle porównawczym.

Renesans powieści biograficznej, wie romancée, związany przede wszystkim z imieniem Romain Rollanda, zaznaczył się u nas już w dwudziestolecie międzywojennym pozycjami wybitnymi (Woloszynowskiego „Słowacki”, Parandowskiego „Król życia”, Boya „Marysięna Sobieska”, Swiderskiej „Zygmunt”, Małewskiej „Żelazna korona”). Mnożą się powieści biograficzne w naszej literaturze powojennej. Jastrun, zdobywszy laury sześciokrotnie już wydanym „Mickiewiczem”, zwrócił się ku Słowackiemu i Kochanowskiemu. Małewska „Zniwem na sierpnie” już w pierwszych latach po wojnie przypominała Norwida, Hertz obdarzył nas „Portretem Słowackiego”, Broszkiewicz zażył się Chopinem. Do Mickiewicza wracano w powieściach biograficznych wielokrotnie a poświęcano utwory tego typu nawet Fryczowi Modrzewskiemu, Janiciusowi, Żeromskiemu.

Rodzaj stający się powszechnym przechodzi pewną ewolucję. W powieściach biograficznych znajdujemy coraz więcej materiału autentycznego, tekstów wierszy, listów, pamiętników wplątaných do fabuły. Osłabia się element fikcji powieściowej. Powieści biograficzne zbliżają się do esejów, a niekiedy przyjmują na siebie niektóre zadania stojące przed autorami monografii. Niekiedy mylnie utożsamia się powieść biograficzną z monografią. Naprawdę żadna z dotychczas wydanych polskich powieści biograficznych na miano monografii nie zasługuje. Pierwszym dziełem u nas, w którym w sposób szczęśliwy zatarły się granice między powieścią biograficzną a monografią o pisarzu, jest książka Parandowskiego o Petrarce. Czyta się tę książkę jak fascynującą powieść, bo dzieje Petrarcki były fascynujące, tak samo jak epoka, która go wydała. Ale określenie „powieść biograficzna” nie jest wystarczające dla książki Parandowskiej. I nie jest to essay, mimo że świetne essaye pisy-

wał już Parandowski wielokrotnie. Książka, której rozdziały odpowiadają poszczególnym kartom biografii Petrarki, nie ma w sobie nic z wulgarnej biografizmu. Narosła przez sześć wieków ogromna literatura przedmiotu wokół zagadnienia, czy Laura istniała naprawdę; Parandowski poddaje bystrej i nowatorskiej analizie filologicznej i historycznej istniejące dokumenty, ale całą sprawę omawia z umiarem i subtelnością niezwykłą. „Bardziej niż Laura on sam (Petrarka) jest bohaterem sonetów” — stwierdza Parandowski. Warte zacytowania jest inne zdanie: „Jeśli Laura jest tworem wyobraźni, jeśli ani jeden fakt rzeczywisty nie odpowiada wierszom, które o nim mówią, jeśli nawet uczucia i stany ducha, których sonety są pamiętnikiem, zrodziły się z urojen, nie odbierze to sonetom ani ich piękna, ani tej głębokiej wartości, jaką zawiera każde artystyczne świadectwo o swoim twórcy, choćby się nawet okazało, że forma, ton, koncepcja nie są jego wyłączną własnością” (s. 21).

Przypominają się słowa Leona Piwińskiego o tym, że pamiętanie o Maryli przeskadza, a nie pomaga w zrozumieniu „Dziadów” części IV.

Poetę, którego łączono w świadomości ogółu czytającego społeczeństwa jedynie z cyklem „Sonetów o Laurze”, ukazał Jan Parandowski we wszystkich przejawach jego działalności. Zasługi Petrarki w dziedzinie kultury języka łacińskiego przedstawione zostały ze znanstwem i z pietyzmem wielkim należnym mowie Wergiliusza od polskiego humanisty wieku XX. Powstał nowy fragment dziejów epistolografii. Nowe oświetlenie i ujęcie uzyskały stosunki łączące Petrarę z Boccacciem.

Ze wszech miar dobrze się stało, że książka Parandowskiego ukazała się jednocześnie z „Sonetami do Laury”. Dzięki obu pracom Francesco Petrarca stał się nam bliski.

Jerzy Starnawski

Ludzie i syrena*)

Książka, o której piszę, czekała prawie dziesięć lat, zanim znalazła się na półkach księgarskich. Z punktu widzenia tych, co w tym czasie decydowali o polityce wydawniczej, nie była potrzebna. Nie odpowiadała tak zwanemu aktualnemu zamówieniu społecznemu. Klóciła się ze schematem, który nadawał formę i wskazywał kierunek myśli twórczej. Miała ambicję, aby iść własną artystyczną drogą. Musiała więc czekać, aż szlaban historii podniósł się do góry.

Gdyby się dziś ukazała, byłaby naturalnym zjawiskiem wydawniczym, ale jeszcze rok temu miała charakter nowinki, zresztą w tym najlepszym znaczeniu słowa.

Po nędzy wielu produkcyjnych utworów, rodzących zaduch w dziedzinie twórczości, ukazanie się jej było orzeźwiający powiewem.

Wszystko w tej rasowej książce jest pociągające. I pomysły, i konstrukcja, i subtelność rozwijania wątku, w którym groteska przeplata się z poetyckim realizmem imaginowanych obrazów, i wreszcie sposób prowadzenia narracji.

„Ludzie i syrena” Anatola Sterna, mimo widocznych filiacji, jest książką odkrywczą, mającą własny oryginalny wyraz. Klimatem swym najbliższa jest utworom Oscara Wilde’a i Wellsa. Szczególniej ten drugi żywo mi się przypominał po przeczytaniu całości. Jest taka książka Wellsa zatytułowana „Syrena”. Utwór to nieduży — mała powieść o specyficz-

nej fantastyce. Bohaterka jej „panna-ryba”, która wychodzi z morza, jest istotą ukształtowaną według wzoru „gentlewoman”. Swoji ludzki czy też rybi niedostatek ukrywa zręcznie w fałdach świetnie skrojonych sukien. Urodą i rozumem budzi podziw i zazdrość, i osiąga to, co zamierzała: wciąga w głębiny morskie zakochanego młodzieńca, wzór dobrego wychowania i postawy życiowej według pojęć high-life’u.

Syrena u Wellsa jest probierzem czy też sprawdzianem siły oddziaływania niespodzianki, będącej znakomitym antidotum na spleen i nudę konwencjonalnego trybu życia, wyzwalającej ze skostniałych form obyczajowych i towarzyskich. Morze w „Syrenie” staje się mimo woli symbolem wolnego nieskrępowanego życia, ucieczką od fałszu, obłudy i filisterstwa.

U Sterna postać syreny jest narzędziem spekulacji. Czyniąc ją bardziej prostą, zwierzęco-prymitywną, pogłębia ją poprzez rolę, jaką odgrywa. Autor „Ludzi i syreny” ukazuje swój dziw w różnych perspektywach, dzięki czemu świat fikcji i realnych doznań przeplata się to w sposób filozoficzny, to znów groteskowy. Tylko, że filozofia ma tu często postać zjawy, realnej, a groteska byt intelektualno-abstrakcyjny.

Elementy, z jakich Stern zbudował swoją powieść, mają często charakter gotowych prefabrykatów najbardziej realnej rzeczywistości, to znaczy, że całość

*) Anatol Stern: „Ludzie i syrena”. Państwowy Instytut Wydawniczy 1955. Warszawa.

opowiadania i wszystkie obrazy z bardzo małymi wyjątkami mogłyby istnieć naprawdę. Wykpienie rasistowskiej ideologii środkami do złudzenia przypominającymi „manières d'être” nazistowskiego systemu uwarunkowane jest chwytami literackimi noszącymi cechy dobrego warsztatu. Autor posługuje się teatrem i anegdotą, widowiskiem i kpiarstwem, dawkowanym w taki sposób, że zabarwia ono słowa i sytuacje tylko metaforycznie. Są to półtony uśmiechów i znaczeń. Nawet sceny brutalne często mają charakter gry chińskich cieni.

Postać syreny pokazywana jest przez autora różnocoznacznie — obraz początkowo konkretny powoli przeistacza się w majak, by stać się niemal fikcją, która zrodziła się w chorym umyśle, ale nie tak dalece, aby nie pozostał po niej jakiś niepokój w dziwny

sposób zatraconej rzeczywistości. Nawet ostatni jej śpiew, który w odmęty wciąga nazistowskiego bohatera, prof. Wulfa, jest tylko echem tego, co było lub być mogło...

Jest w sposobie snucia wątku opowiadania jakaś zonglerka intelektualna, której rekwizytami są myśli niedopowiedziane do końca a jednak nie mniej ważne od tych, które się wymawia głośno lub zgoła wykrzykuje. Jest gra nie tylko cieni, ale i półcieni, jest poruszanie strun delikatnych, wydających najsubtelniejsze dźwięki. I jest konfrontacja, śmiała i odważna, tworzą wyobraźni z upostaciowanym w akcji sensem ludzkiego życia. Ta konfrontacja to pieśń poety o tym, czego pozornie nie ma, a co jednak jest, co pociąga silnie, co zmusza do największych wyrzeczeń.

Książki tej nie sposób zapomnieć.

Wacław Gratewski

Przegląd wydawnictw

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ:

„KSIĄŻKA O SYCYLI” *)

Książkę tę pisał Iwaszkiewicz w różnych czasach i w różnej formie. Podczas licznych podróży na słoneczną wyspę i podczas potwornej niemieckiej okupacji, by wspomnienie działało „zastępczo, jak haszysz i jak kieliszek wódki”. Były to całe gotowe rozdziały, albo przygodne listy. Materiały te stopiły się teraz w całość, będącą nie tylko odbiciem wrażeń czulego na uroki świata artysty, ale i hołdem, złożonym temu wyjątkowemu krajowi.

Na treść „Książki o Sycylii” złożyły się przede wszystkim notatki z kilku rozdzielonych latami wojny podróży. Są to impresje pisane na gorąco, w których podziw dla egzotycznej przyrody miesza się z zachwytem, jaki w duszy autora wywołuje sztuka tej przedziwnej i jedynej w swoim rodzaju ziemi. Z przyjemnością powraca autor do historii wyspy, może dlatego, że szuka tam śladów wspaniałego „Króla Rogera”, który tak bardzo urzekł Karola Szymanowskiego, że postanowił dzieje jego zamknąć w swojej operze. Zresztą pobyt Karola Szymanowskiego w Palermo ma w dziele twórcy „Książki o Sycylii” liczne echa. Czytelnik poznaje się z geną arcydzieła („Król Roger”) znakomitego kompozytora i historią jego wystawienia w stolicy tego uroczonego kraju.

Część swojej „Książki o Sycylii” poświęca Jarosław Iwaszkiewicz wspomnieniom z wędrowki po ciekawych miastach i miasteczkach Italii. Z San Gimignano jedzie do Sieny, a stamtąd do malutkiego Arezzo, potem udaje się do Florencji. Czytelnik z przyjemnością bierze udział w tej wędrowce, tym bardziej że wspomnienia z Sycylii są pisane pięknym, klarownym językiem.

„Książkę o Sycylii” należy zaliczyć do tych wyjątkowych książek, których się nie zapomina. Duży pożytek przyniosłyby dobre ilustracje, ale tych, na pewno nie z winy autora, dzieło to nie posiada. Książka jest odbita na doskonałym papierze. Okładkę projektowała Zofia Włodarczyk.

JAN WIKTOR: „PIENINY I ZIEMIA SĄDECKA” **)

Jest to pokaźny tom (536 str.), ozdobiony licznymi zdjęciami krajobrazu i zabytków tej ziemi, owoc kil-

*) Jarosław Iwaszkiewicz: *Książka o Sycylii*. Czytelnik 1956. Warszawa.

**) Jan Wiktor: *Pieniny i ziemia sądecka*. Wydawnictwo Literackie 1956. Kraków.

kunastu lat żmudnej pracy. Mamy więc do czynienia z książką wyjątkowo przez autora ukochaną i poczętą ze szczerego umiłowania kraju, któremu pozostał wierny przez całe życie.

Po ogólnej charakterystyce krajobrazu Jan Wiktor przechodzi do szczegółowego zapoznania czytelnika z zamierzczymi dziejami ziemi sądeckiej, wylawiając najcenniejsze momenty z historii Niedzicy i Czorsztyna, Szczawnicy i Dębna podhalańskiego. Z pieczołowitością notuje legendy i maluje urok zabytków tego wyjątkowo pięknego zakątka. Ze znanstwem etnografa i artysty zajmuje się pomnikami samorodnej kultury ludowej.

Legendy w tej książce przeplatają się z notatkami historycznymi, opis krajobrazu przechodzi w szeroko, mocnymi barwami malowaną panoramę Pienin. Autora interesują nie tylko dzieje tej ziemi, ale i lud wraz ze swoją przeszłością, wspaniałym strojem, pieśnią, bogatymi tradycjami i pysznym budownictwem.

Ze specjalnym sentymentem pisze Jan Wiktor o Szczawnicy, która jest miejscem jego zamieszkania. Wspomina historię zdrojowiska i ożywia postać jego założyciela J. Szalaya.

Dzieło kończy się opisem Rożnowa starego i dzisiejszego oraz klasztoru sióstr Klarysek w Starym Sączu, związanym z postacią św. Kingi.

WOJCIECH NATANSON:

„KAROL ADWENTOWICZ” ***)

Wydana bardzo starannie praca Wojciecha Natanson stanowi próbę ujęcia całej specyficzności i odrębności sztuki aktorskiej tego wielkiego artysty. Dlatego autor położył główny nacisk nie na samą biografię i etapy pracy Adwentowicza, lecz na technikę gry scenicznej i role kreowane przez tego najlepszego w dziejach polskiego teatru Hamleta Natanson podkreśla w swej monografii, że najważniejszymi walorami świetnego aktora były zawsze wspaniałe warunki zewnętrzne, silny, sugestywny głos o wielkiej skałi modulacji i niezapomniane oczy.

Wojciech Natanson omawia pokrótce wszystkie ważniejsze role Adwentowicza. A więc: w „Nieboskiej komedii” Krasińskiego (Henryk), w „Budowniczym Solniesz” Ibsena (niezrównany Solness), w „Burmistrzu Stylmondu” Maeterlincka (burmistrz), w „Zemście” Fredry (Cześnik), w „Nadziei” Heijermansa (kapitałny Kobus) i w wielu innych sztukach. Książka jest napisana zwięźle i jasno. Zdobną ją na

***) Wojciech Natanson: *„Karol Adwentowicz”*. Państwowy Instytut Wydawniczy 1956. Warszawa.

ogół dobre zdjęcia, przedstawiające znakomitego aktora w jego licznych i zawsze kapitalnych wcieleniach.

jnk



JERZY MIECZYŚLAW RYTARD: „BARBA“ *)

W numerze 99 „Kamień“ drukowany był fragment tej powieści, której wydanie książkowe ukazują się obecnie. Pozycja ta stanowi ciekawe novum w dotychczasowym dorobku pisarza. „Najnowsza powieść Rytarda jest zwycięstwem nad lirykiem powieściopisarza — realisty, który nawiązał z życiem polskim i jego współczesną problematyką najbliższy kontakt i jako epik współczesnego życia polskiego i jako charakterolog postaci powieściowych” — stwierdza w posłowiu Jerzy Eugeniusz Płomieński. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ów kontakt ze współczesnością nie zawiera w sobie żadnych cech szablonu. Klimat powieści przypomina uroczą prozę Makuszyńskiego, doskonale nakreślona postać młodocianej bohaterki utworu, siedemnastoletniej Barby (Barbary), wskrzesza najlepsze tradycje postaci dziewczęcych w powieściopisarstwie polskim.

*) Jerzy Mieczysław Rytard: *Barba*. Pax 1956. Warszawa.

Szkoda tylko, że książka wydana została bardzo niestarannie: na poszczególnych stronach aż roi się od błędów korektorskich. Pomysłową okładkę projektował Krzysztof Dąbrowski.

EUGENIUSZ GOŁĘBIOWSKI: „PRZYGODY KRÓLEWSKIEGO PIECHURA“ **)

Po „Dożywociu pana Wojszy“ to druga „opowieść historyczna“ Eugeniusza Gołębiowskiego.

Rozkoszna lektura! Dwieście kilkanaście stron pysznego, jędrnego języka chłopca polskiego z 17-go wieku. Książka utrzymana w formie pamiętnika „wybrańca“ Joakima, odbywającego pełną przygód i chwały służbę w piechocie króla Jana. Obrazki obyczajowe i opisy bitew (m.in. „potrzeby wiedeńskiej“) stanowią wspaniałe tło, na którym uwypukla się wyraziście żywa, krwista postać bohatera. Ale nade wszystko język, prawdziwa skarbnica chłopskiej staropolszczyzny, czyni tę opowieść wprost pasjonującą.



Książka, którą każdy winien przeczytać, wydana została nader skromnie. Zupełnie chybiona okładka (według projektu Mariana Stachurskiego) i brak rysunków w tekście świadczą o poważnym niedopatrzeniu.

**) Eugeniusz Gołębiowski: *Przygody królewskiego piechura*. Czytelnik 1956. Warszawa.

Wycinki z prasy kulturalnej

Takie czasy

Nareszcie — stało się! Niemal każde pismo literackie można sobie z przyjemnością poczytać. „Po prostu“ nie jest już jedyną wyspą na oceanie spokojnym. Oczywiście gdzieś zabrzmi jeszcze drętwa mowa, tu i ówdzie epigon niesławnej epoki uderzy w tradycyjną nutę, lecz ogólnie biorąc kierunki poszczególnych pism zmiernają ku jednej, obiektywnej prawdzie.

„Kierunki!“ Właśnie o nich chciałem... I o panu Piaseckim. Nie zaglądałem prawie nigdy do tego tygodnika (powodując się inaczej nieco pojętym „instynktem państwowym“), ale obecnie chyba zaczęło to czynić, aby się przekonać, kto tam jeszcze pisuje. Bo

tych „nie pisujących już“ coraz więcej. Otwieram oto „Świat“ (nr 277) i znajduję wspomnienie wojenne Stanisława Skalskiego, poprzedzone następującym wyjaśnieniem autora:

„Wkrótce po moim wyjściu z więzienia redakcja czasopisma „Kierunki“ zwróciła się do mnie jako pierwsza, proponując mi druk moich wspomnień z walk w 1939 roku. Na łamach „Kierunków“ ukazały się już 22 odcinki tych wspomnień pod ogólnym tytułem „Czarne Krzyże nad Polską“. Ponieważ obecnie po wystąpieniu Bolesława Piaseckiego nie widzę możliwości kontynuowania druku na łamach czasopisma „Kierunki“, zwróciłem się do redakcji „Świata“ z prośbą,

by udostępniła mi w tym celu łamy swego piśma“.

Podobne oświadczenia całych grup publicystów paxowskich znaleźć można i w innych tygodnikach (choćby w 408 numerze „Po prostu“).

Tak, tak, stało się! Ludzie zaczynają zdrowo reagować na pewne zjawiska, zasłona spada z oczu, przedstawiciele różnych ideologii łączą się we wspólnym froncie, naprawdę narodowym. A bankruci? Każdy umiera w samotności... Takie czasy!

Chłop — istota nieznaną

Konia z rzędem temu, kto mi przetłumaczy na zrozumiały język artykuł Tadeusza Nowaka „Tragedia literatury z pawim piórkiem“ zamieszczony w 251 numerze „Życia Literackiego“. Zawsze twierdziłem, że poeci nie powinni się brać do pisania artykułów, gdyż z tego wynikają abrakadabry. Przeczytałem wspomnianą rzecz 3 razy i zaiste nie wiem, o czym autor mówi... Coś o pisarzach chłopskich, coś o chłopach w ogóle, ale licho wie, o co naprawdę chodzi.

Mogłem rozkoszować się tylko frazami pełnymi zakakujących metafor, których głębia jest zgoła niedocieczona. Taki np. fragmencik:

„Pisarze chłopscy... pisali na piachu, który nie istniał, gałęzią, która nie dała się zidentyfikować z żadnym z istniejących drzew“.

Podziwiać także mogłem i stylistyczne walory owej publicystyki w takim chociażby wyimku:

„Ustaliła się śmieszna, trwająca nawet do dziś w zaściankach literackich opinia, że inteligenci wiejscy, pisarze chłopscy, posiadają tyle nie dających się wykorzystać kompleksów, naiwności moralnych i intelektualnych, więc trudno, ale nigdy nie będą pisarzami ogólnonarodowymi, co więcej pisarzami o dużym krajobrazie oddziaływania“.

Godne są przytoczenia również te oto końcowe zdania artykułu:

„Wiem jak ogromne jest działanie patriarchalności kapliczek, świątków, odpustów, przerażających w brzydocie dewocjonaliów, na wyobraźnię pracującą z daleka od wielkiego krajobrazu. Są to sprawy na pozór drobne. Ale łączy się z nimi problem zasadniczy, problem pełnego wyrażenia w twórczości literackiej odchodzącej wsi, która podświadomie w nas pokutuje, wsi, z której nie wiadomo kiedy i jaki wyskoczy Szela“.

Nie żałuję jednak, że przeczytałem ów artykuł, gdyż dzięki temu ostatecznie utwierdziłem się w starych zresztą prawdach, iż:

a) nie wszystko, co się drukuje, na druk zasługuje;

b) należy dążyć do demokratyzacji również i słownictwa, aby bez gimnastyki umysłowej można było zrozumieć myśl;

c) myśl powinna naprawdę istnieć i dochodzić do świadomości czytelnika na zasadzie wyływania jednej z drugiej.

Mniej takich ładnie brzmiących „Tragedii literatury z pawim piórkiem“, a rzadziej będziemy dochodzili do niezgodnych chyba z intencjami autora wniosków. Jak np. w tym wypadku, że właściwie chłop — to istota nieznaną, z której nie wiadomo kiedy i jaki wyskoczy Szela...

A to heca...

Lubię wiersze, toteż czytanie czasopism zaczynam przeważnie od tej lektury. Otrzymałszy więc najnowszy (346) numer „Nowej Kultury“ zaznajomiłem się najpierw z trzema utworami Śpiewaka na pierwszej stronie (choć poezja jego nie przemawia do mnie), potem na stronie 3 szybko uporałem się z „Jesienią 1956“ Śluckiego i wreszcie dopadłem do interesującego niekiedy Gaworskiego. Pierwszy liryk: „Miejsce“. No, trochę mnie zawiódł. Czytam następny: „Życie prostsze“:

*Są pola, na których rosną
tajemnice Eucharystii.
Są pola, na których wiosną
wrą soki traw i liści.*

Hm, ciekawe. Recytuję sobie dalej. Hm, coraz ciekawsze... A najbardziej to, że ja ten wiersz skądś znam. Zaraz, zaraz! No, tak — czytałem go we wrześniowym numerze „Kamenu“. Ale jednak coś tu się nie zgadza: przecież Gaworski w „Kamenu“ nigdy nie drukował. Sprawdziłem. Tak jest, pamięć mam dobrą — w „Kamenu“ drukował ten wiersz Anatol Stern.

I jaki stąd wniosek. Ano, bardzo prosty (wykluczam bowiem nieuczciwość autorów): gdyby redaktorzy „Nowej Kultury“ czytali „Kamenu“ — nie doszłoby prawdopodobnie do tej kompromitującej pomyłki. A tak, cóż — wstyd i przykro...

Bo jak powiada poeta:

*Niedobrze, gdy wielkie mafie
Ulegają malej gaffie...*

IkS

O CZYM PISAŁA „KAMENA“ PRZED 20 LATY

Listopadowy numer „Kamenu“ z 1936 r. zawierał essay Stefana Napierskiego „Pożegnanie młodości“ (o Antonim Słonimskim), wiersze Mieczysława Jastruna, Stanisława Wygodzkiego, Olgi Daukszy, Anny Chromińskiej, Adama Bieleckiego, Artura Rzewczyca, Wiktora Gwoździewskiego i Aleksandra Messinga, fragment „Narcyza“ Paul Valéry'ego w tłumaczeniu Artura Sandauera, wiersz Charles Cros „Niezależność“

w przekładzie K. A. Jaworskiego, opowiadanie Józefa Kulundzica „Wagon zakaźny“ tłumaczone przez St. K. Papierkowskiego, recenzję S. Napierskiego ze zbioru Stanisława Piętaka „Ziemia odpycha na zachód“, kronikę słowiańską i noty. W notach — kaj — m. in. przypomina dwudziestą piątą rocznicę śmierci poety ks. Antoniego Szandlerowskiego i przytacza za „News Chronicle“ wiadomość o rozstrzelaniu przez frankistów Federica Garcii Lorki.

Krytycznie o krytykach „Życia Lubelskiego“

6 listopada rb., w czasie, gdy chyba wszyscy w Polsce znajdowaliśmy się pod wrażeniem naszych wielkich dni październikowych, gdy z bólem odbieraliśmy przy aparatach radiowych wieści z krwawiących Węgier i gdy z niepokojem oczekiwaliśmy wyjazdu naszej Delegacji do Moskwy, — anonimowy autor nie miał większego kłopotu, niż zamieszczenie w „Życiu Lubelskim“ złośliwostek pod adresem 10 numeru „Kamenu“ w recenzji zatytułowanej, zgodnie z dawnymi, niesławnymi nałogami lubelskiej prasy: „Znowu krytycznie o „Kamenu“ — 10 numer nie przynosi rewelacji“.

Zdawałoby się, że w atmosferze ogólnej odnowy naszego życia czas by już skończyć z wyrokami lubelskich domorosłych augurów, ustawiaczy „Kamenu“, nianiek strofujących „naszego beniaminka“, zdobywających się na takie precyzyjne określenia, jak np. „nowy numer „Kamenu“ jest dość ciekawy, chociaż znowu zbyt „kulturalny“, a za mało społeczny“, że przytoczymy tu pierwsze zdanie recenzji, lub pouczających redakcję co do potrzeby albo kolejności zamieszczania poszczególnych pozycji w numerze. Bieg wypadków wykazał, że celowe wysunięcie wojennych wspomnień lotniczych majora Witolda Łokuciewskiego na pierwsze miejsce tego numeru, powodowane chęcią wyróżnienia człowieka, ulegającego dotychczas niezasłużonej dyskryminacji, zharmonizowało się wkrótce z poczynaniami czynników rządzących, które powołały zasłużonego lotnika z powrotem do służby wojskowej. Anonimowy recenzent z „Życia Lubelskiego“ nie zrozumiał też powiązania wiersza Liskowackiego „Gorycz“ i jego

„bardzo zresztą ciekawego“ (cyt.) opowiadania „Czy będzie defilada?“ nie ze „Świętem Umarłych“, jak to ironicznie suponuje, ale z powszechnym dążeniem do wyrównania krzywd wyrządzanych wczoraj w Polsce. I nawiązując do zakończenia tej recenzji: „trochę wstyd mi za „Kamenu“, — zapytamy, kto właściwie powinien się wstydzić i to nie „trochę“, ale bardzo?

25 listopada „Życie Lubelskie“, chyba przez jakieś niedopatrzenie, zamieściło z kolei artykuł naszego do niedawna pracownika, który występując rzekomo „w obronie „Kamenu“ (nadtytuł) najpierw puścił na falach eteru, a później uwiecznił na łamach dziennika swe niedowarzone, kłójące się z logiką i poprawnością języka rozważania na temat obecnych i przyszłych losów naszego pisma. Autor niepokoi się o ewentualny dwutygodnik, niecierpliwi go to, że „Kamenu“ nie ujawnia swych planów“, doradza, co i jak czynić, „broni“ „Kamenu“ przed atakami, które sugerują zlikwidowanie jej“. Pomijając już kwestię tego, że nie spotkaliśmy się z podobnymi „atakami“ i sugestiami, wydaje nam się, że nawet gdyby tak było, podpisany pod owym artykułem autor, którego prace proponowane do naszego pisma podlegały częstokroć krytyce zarówno komitetu redakcyjnego, jak i prasy, a nieraz były odrzucane, — najmniej jest powołany do „obrony“ „Kamenu“.

W ostatniej części słowa wstępnego od redakcji, zamieszczonego na początku tego numeru, wyrażamy życzenie, aby po naszej rewolucji pracę ośrodków kulturalnych całego państwa i Lublina przenikała uczciwość i prawda, obiektywizm, wzajemny szacunek i mądra tolerancja. Czyżby „Życie Lubelskie“ nie podzielało tego stanowiska?

